

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Na drugi dzień rozkazem pułku awansowałem na młodszego unteroficera. Zbyteczne wyróżnienie, 2 lutego 1916 r. w czasie zajęć z rekrutami wszedł do izby pisarz kompanijny i zapytał, kto to jest Wośko, zgłosiłem się. Przyszliśmy do kancelarii. Tam w obecności feldfebla pytał się ile mam lat, kiedy przybyłem do pułku, jakiej jestem narodowości, jakiego wyznania. Wszystko sobie zapisał i kazał mi odejść. No myślę sobie: to chyba trzeba się szykować do wyjazdu z marszową kompanią na front. Po 2 tygodniach znów przyszedł ten pisarz. Dał mi listę Polaków i polecił mi zebranie innych Polaków i dopisanie ich nazwisk na liście. Znałem jeszcze 2 Polaków: Kołodziejczyka i Mikołajkę, ale ich nie zastałem, bo poszli do kościoła. Na drugi dzień i ja poszedłem do kościoła do wielkanocnej spowiedzi. Po powrocie zwróciłem listę bez nazwisk wymienionych żołnierzy. Krążyła pogłoska, że z Polaków zamierzali utworzyć polski oddział i wysłać na front. Na razie do tego nie doszło, bo Polacy już dawno wyjechali... z kompaniami na front. Przed kościołem zauważyłem elewa (ucznia) szkoły proporszczyków, który był udekorowany krzyżami św. Jerzego. On spojrzał na mnie, ja na niego. Odniosłem wrażenie, że ja go gdzieś widziałem i dobrze go znam. Podszedłem i pytam czy nie nazywa się Sobolewski. Ten przytaknął i pyta skąd ja go znam. Wtedy i on sobie mnie przypomniał. Opowiedział mi, że przeszedł wszystkie fronty, objechał całą Rosję, kilka razy był ranny, a obecnie uczy się w szkole w Orenburgu. Dodał jeszcze, że w Rosji ożenił się, a jego żona Rozalia mieszka w [...]. Dał mi dokładny adres żony i prosił, abym korespondował z nią. Po skończeniu szkoły za 3 tygodnie znów jedzie na front, ale już jako oficer. Kilka listów do jego żony napisałem, ale od niej nie otrzymałem żadnego, nie wiem jak się jego losy potoczyły na froncie.

Kurs saperów

W kilka tygodni po przeglądzie wojsk zaszła zmiana na stanowisku dowódcy pułku. Pułkownik Iwanow awansował na generała majora i przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce przybył frontowy pułkownik Kirsanow. Zabrał się ostro do roboty. Dnia 14 marca 1916 r. urządził przegląd kadry oficerskiej. Brał po jednym podoficerze, kazał podawać rozkazy, chwyty bronią do strzelania, do walki na bagnety. Zauważyłem, że podoficerowie dużo wyjaśniali, wygłaszali różne teorie, a to mu się nie podobało. Przyszła kolej na mnie. Pytał jak ja uczę rekrutów fechtunku karabinem i jak zaznajamiam rekrutów z bojem na bagnety. Wysłuchałem, spojrzałem na manekina stojącego na kółkach pośrodku placu. Po kilku słowach odpowiedzi, chwyciłem za karabin i ile sił w nogach pobiegłem do tego manekina. Z całym rozmachem uderzyłem bagnetem w stojący manekin, aż kilka razy wyrzucił koziółka. Wróciłem na miejsce, a pułkow-

nik mówi: „*Maładiec* (zuch), tak trzeba bić Niemców”. Przegląd ten miał na celu wyłonienie kilku słabszych podoficerów do marszowej kompanii. W ogóle dawał się odczuć brak oficerów i podoficerów w marszowych kompaniach. 17 marca wydelegowano mnie do szkoły saperów. Każda kompania delegowała po 4 oficerów ze 104., 105., 238., 170. i 244. pułku. Tam przerabialiśmy teoretycznie i praktycznie na piaskownicy i w terenie wybór miejsca na okopy, kierunek rowów, głębokość, rodzaje okopów i ich przeznaczenie. Duży nacisk kładł wykładowca na budowę blindażu, rowów dobiegowych, miejsc dla rannych, palenisk do gotowania herbaty itp. Kurs ten trwał 2 tygodnie. Nabyte wiadomości musiałem po powrocie zastosować w warunkach polowych na stepie w swojej kompanii. Przez zimę rekruci zdobywali lepsze teoretyczne przygotowanie, a teraz w obozie za Uralem wykańczaliśmy marsze, tyraliery, zajmowanie i opuszczanie okopów podczas zmiany. Pewnego dnia w czasie poobiedniego odpoczynku oddaliłem się na kilkaset kroków w stronę [...] Dworu. Przyjrzałem się jak rozpalone powietrze drga. Poziome fale dość długo unoszą się jedna za drugą do góry. Na tle Dworu widziałem zamglone sylwetki wielbłądów do góry nogami.

Podróż Orenburg–Orsk (250 km)

Dnia 15 maja 1916 r. wraz z kilkoma żołnierzami i proporszczykiem Nielepą zostałem delegowany do Orska na czas poboru rekrutów. Podróż odbyliśmy na zarekwirowanych podwodach. Początkowo jechaliśmy przez bezdrzewny, płaski i równy step do powiatowego miasta Jaktniebińska. Na przedmieściu nad rzeczką rozłożyła się tatarska wieś, gdzie spotykaliśmy nędzne i brudne zagrody, przed którymi leżały stosy nawozu. Przy jednej z zagród widzieliśmy tatarą na koniu, który tratował rozwaloną kupę nawozu, jeżdżąc na koniu wokoło po mokrym nawozie. Obok 2 kobiety wkładały to „ciasto” do form, jakich się u nas używa do formowania cegieł. Cegły po obeschnięciu układały w przewiewne piramidy na słońcu, aby je spalić pod kuchnią lub piecem dla uzyskania ciepła w czasie mroźnej zimy (z braku drewna na budowę i opał). Rozlokowaliśmy się w pustych koszarach. Nigdzie nie można było kupić chleba. Musiałem kontentować się szklanką czystej herbaty na kolację i na śniadanie. Rano ruszyliśmy na 12 podwodach w dalszą drogę. Moją podwodą kierował tatar ubrany w marny, cienki, po kolana płaszcz z czarną skopkową czapką na głowie. Oryginalna była ta podwoda. Na dłuższej heblowanej desce opartej na przedniej i tylnej osi wozu siedział furman, a za nim ja i 3 żołnierzy okrakiem jak na koniu. Od tej długiej i niewygodnej postawy strasznie rozbolał mnie krzyż, aż trudno było się poruszyć. Droga w pewnym punkcie prowadziła przez małą i płytka

rzeczkę. Koń się znarowił pośrodku, nie chciał ruszyć dalej. Grzebał kopytami po dnie rzeczki i chciał się położyć w wodzie. Żadne wołanie i popędzanie batem tego pięknego czarnego konia nie odnosiły skutku. Musiał więc furman zejść z podwoły i za uzdę przeprowadził konia i podwoły z nami na przeciwległy brzeg. To samo powtórzyło się przy przejeżdżaniu suchego rowu. Z takimi przygodami dotarliśmy do wsi Pietropawłowska. Tu kobieta formuje cegły „kiziołki” na opał, obok druga z tego kiziołka stawia ściany do jakiejś budowli. Po skończeniu ścian zrobiła płaski dach z tegoż samego materiału budowlanego. Całe szczęście, że ten kiziołek w tych ścianach i dachu prędko zasycha na skałę. Inaczej cała budowla zawałiłaby się. Tutaj dostaliśmy kilka szklanek surowego mleka i po większej kromce białego chleba. Po wymianie podwód ruszyliśmy dalej. 17 maja zarysowały się góry uralskie. Z wielkim zainteresowaniem obserwuję krajobraz. W miarę posuwania się naprzód podróż staje się uciążliwa. Wreszcie dochodzi do tego, że musimy schodzić z wozu bo konie tylko pustej furmance dają radę. Ta podróż przełęczą trwa kilka godzin. Zbocza gór porosłe rzadko małą trawą i mchem, a w innych miejscach całkiem gołe skały piętrzą się po obu stronach wąwozu. Wieczorem docieramy do wsi Kusostepu. Chciałem coś kupić do zjedzenia, ale do mieszkania bez zezwolenia dziesiętnika wejść nie wolno. Przy urzędzie gminy kupiłem za 2 kop. kubek herbaty. Ruszamy dalej. Krajobraz się zmienia. Układ gór jest inny. W dolinach i mokrych miejscach prócz wyższej trawy rosną krzaki i poplątane trawy wodne i szeleszcząca za podmuchem wiatru trzcina. W dali na pochyłym zboczu pasą się owce. Na nasz widok pasterz uciekł w głąb krzaków i tam się schował. Docieramy do pasterskiej osady Ibytchorska. Nad nami królują gołe ściany górskie. Nad przepaścią stoi samotna koza i rozgląda się dookoła. Proporszczyk Nielepa wziął karabin od żołnierza i pyta Kirgiza czy wolno do niej strzelać, na co Kirgiz z ociąganiem się wyraził zgodę, ale oficer uśmiechnąwszy się oddał karabin – nie strzelał do tej kozy. Poprzedzeni przez gospodarza zajrzeliśmy do środka jurty (namiotu), która dzieli się na dwie połowy. Obie połowy przedzielone są trzciniową matą. W pierwszej połowie pośrodku jest ognisko, czynne tylko w czasie deszczu i nocą. Podłoga (zwykła ziemia) zasłana jest trzciniowymi matami. Pod ścianą stoją kufrы obite blachą, pomalowane na różne kolory (z esami floresami). W nich mieszkańcy przechowują odzież i inne cenniejsze przedmioty. W innym miejscu leżą wygarbowane, pozszywane skóry owiec, które służą do pościelenia pod siebie w czasie snu i nakrywania się nimi. Skóry w czasie dnia są pozwijane w duże powiązane kłęby, gotowe w każdej chwili do przewiezienia w inne miejsce (koczowniczy tryb życia). Do drugiej części jurty (część kobieca) obcym wchodzić pod żadnym pozorem nie wolno, więc nie widziałem jak ta część jurty wygląda. Ściany-dach jurty są szczelnie okryte dużym, grubym wełnianym wołjokiem opartym na 12 specjalnych, dopasowanych drewnianych drążkach, których jedne końce są oparte o ziemię, a drugie zbiegają się razem z pionowym [...] u góry. Z dala jurta jest podobna do naszej kopy (stosu) siana. Przed jurta paliło się ognisko podsycane kiziołkiem, suchą trawą,

a czasem to i chrustem. Na obwodzie ogniska są wbite w ziemię 2 rosochate paliki (czasem metalowe), na nich w rozwidleniu żelazny pręt, na którym zawieszają się nad płomieniem miedziany kociołek z gotującą się w nim strawą. W danym przypadku gotował się gęsty krupnik z kawałkami baraniny. Dookoła ogniska kręciło się troje dzieciaków w wieku 4–9 lat, spoglądających na gotujące się pożywienie na kolację. Objaśnień udzielał nam stary, brodaty Kirgiz, dokładając do ogniska nowe porcje opału. Czasem wyjrzała jego żona z twarzą zakrytą „czarczafem”, spoglądając przez szparę na kociołek, czy krupnik gotowy do jedzenia. Kiedy jedzenie było gotowe do spożycia, stary Kirgiz zdjął kociołek owiniętą w skórę ręką i wszyscy razem drewnianymi łyżkami jedli z tego kociołka. Na zakończenie „uczty” każdy członek rodziny dostaje do ręki kawałek baraniny z kością. Po ogryzieniu mięsa kości zjada ładny, duży, czarny pies. Jedzą ten krupnik i mięso bez chleba. Nakarmieni wycierają załuszczone usta rękawem i rozchodzą się. Pasterz spędził duże (może 100–190 sztuk) stado owiec w dolinę między 2 górami na nocleg, aby jutro wypędzić je na pastwisko w innej stronie. Na pożegnanie przyniósł w owczej skórze kumys, którym nas poczęstował. Sposób przechowywania i wygląd tego skózanego naczynia nie budziły naszego apetytu, ale odmówić nie wolno, gdyż gospodarz srodcze by się obraził, że goście odmawiają wypicia kumysu, narodowego napoju ludzi koczowniców mongolskiej rasy. Kumys ma smak kwaśno-słodki. Zawiera pewien procent spirytusu. W skałach gnieździły się gołębie, wybraliśmy 15 jajek.

W Orsku

Dnia 18 maja 1916 r. wysiedliśmy z podwód. Nasz kierownik zameldował nasze przybycie wojskowemu naczelnikowi powiatu. Przyjętych do wojska rekrutów odprowadzamy na stację kolejową. 3 czerwca byłem w miejscowym teatrze, położonym w środku młodego sokorowego parku. Tam poznałem 3 Polki, z których jedna przyjechała szukać męża, którego do wojska nie przyjęli – kulawy. Zgubił pieniądze i do domu nie miał za co wrócić. Dorywczej pracy znaleźć nie może. Żona jego udała się do naczelnika powiatu pułkownika Bocińskiego (Polaka) z prośbą o pomoc. Mężowi daje zajęcie przy podlewaniu drzew w parku, a jego żonie 5 rubli na drogę, ułatwiając jej podróż w wagonie z rekrutami. W czasie pełnienia swych obowiązków 2 żołnierzy z mojej grupy upiło się, a później poszli do mieszkania jednego z rekrutów celem dokończenia biesiady. Ubrali rekruta w mundur, dali mu do ręki karabin z nabojami i kazali strzelać. Dyżurny oficer zabrał całą trójkę do aresztu. 17 czerwca z małą grupką żołnierzy i proporszczykiem Nielepą wybraliśmy się do kina, którego właścicielem był Niemiec. Widzowie zbierali się w drewnianej szopie przystosowanej do tego rodzaju imprezy. Dla lepszej widoczności podłoga była nachylona. Siedzieliśmy na drewnianych ławkach. W ostatnim rzędzie od ekranu pod ścianą już siedział pułkownik Bociński z żoną i córką. Z zaciekawieniem obserwowałem otoczenie i treść niemieckiego filmu. Zaintrygował mnie tytuł filmu *Potop* H. Sienkiewicza. Obrazy były małe, niezbyt wyraźne, rosyjskie

napisy objaśniające treść – dość czytelne, oprawa filmu niewyszukana, prosta. Pierwszy raz w życiu oglądałem obrazy filmowe na ekranie. Wrażenia niezatarte, budujące. Po prostu nie chce się wierzyć, że na pograniczu z Syberią, w kirgiskim kraju, komendantem powiatu był Polak, właścicielem tego kulturalnego przedsięwzięcia – Niemiec, film polskiego autora, wśród widzów spora garstka zabłąkanych Polaków, na ścianie w filmie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Codziennie wieczorem wybierałem się na spacer do tego młodego parku, którego aleje oświetlały elektryczne żarówki. Powietrze czyste, w parku spokojnie – przyjemnie odpoczywać po znojmym, upalnym dniu. Pobór rekrutów już się ma ku końcowi. Ostatnią partię odprowadziliśmy na stację. Pozostali tylko wybrani rekruci wysokiego wzrostu rozlokowani na prywatnych kwaterach. Na rozkaz pułkownika pozbiieraliśmy ich i umieściliśmy w „wyższej początkowej szkole” na nasze miejsce. Mnie zabrał Rosjanin starszy do swojego domu na kwaterę. Żona jego przyjęła mnie niechętnie, a może nawet wrogo. W izbie czysto, schludnie. Przy drzwiach wejściowych miednica do mycia, kubek na cienkim łańcuszku, w rogu pod sufitem ikona, przed którą pali się światło. Postawiłem karabin w kącie, podszedłem do wiadra celem napicia się wody, a starszy pyta się czy mam swój kubek lub szklankę do picia. Zaprzeczyłem. Więc on powiada, że obcemu człowiekowi, nawet sąsiadowi nie pozwoli pić wody w swoim kubku. Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia, aby ktoś żałował wody i na chwilę nie mógł wypożyczyć kubka. Wyjaśnił dalej, że religia mu na to nie pozwala. Zdumienie moje osiągnęło szczyt, gdy gospodyni poleciła mi karabin z nabojami wynieść na podwórze. Przemknęła mi przez głowę myśl, czy kobieta ta nie jest czasem wariatką. Starszy wyjaśnił, że oboje z dziećmi są starowierni. Religia zabrania używania przez obcego naczyń i nakryć, używania alkoholu pod żadną postacią, a nawet herbaty czy papieru. Stali się wrogami wszelkich bójek, wojny, kradzieży, kłamstwa itd. Staro-

wierca za nic nie weźmie do ręki strzelby lub karabinu, bo te przedmioty służą do zabijania, co się sprzeciwia Boskiemu przykazaniu „nie zabijaj”. W Rosji są jeszcze inne sekty, których członkowie w wojsku nie wezmą do ręki broni. Wściekłość mnie ogarnęła. Chwyciłem karabin i wybiegłem z tak gościnnego domu. Z powodu późnej nocy zrezygnowałem z poszukiwania innej lepszej kwatery. Przechodząc przez podwórze natknąłem się na szopę pełną słomy. Nie namyślając się długo zagarnąłem trochę słomy, wsunąłem się w to legowisko. Wtem słyszę kroki zbliżające się w moją stronę. To stary przyszedł do mnie, przeprosił, dał kawałek suchego, czerstwego chleba i wody w wyszczerbionej szklance: podkreślił abym po wypiciu wody szklankę odrzucił jak najdalej. Między rekrutami mieliśmy niekiedy staroobrzędowców, którzy nie chcieli wziąć do ręki karabinów i ćwiczyć razem z innymi. Myśleliśmy, że w ten sposób starają się wymigać od służby i wyjechania na front. Żadne tłumaczenia, represje nie dawały rezultatów. Zdarzyło się raz, że dowódca kompanii posadził 2 rekrutów do aresztu. Po powrocie nic się nie zmieniło. Jeden z podoficerów oparł karabin na rekruta, ten spokojnie odstąpił parę kroków, a karabin upadł na ziemię. Kazał mu go podnieść i postawić na stanowisko. Nie podniósł i spokojnie oświadczył, że jemu nie wolno dotykać się do narzędzia służącego do zabijania ludzi. Sprawę tę rozpatrzył dowódca pułku. Po długich debatach doszedł do wniosku, że tu nic nie da się zrobić. Poleciał im dawać najtrudniejszą i najbrudniejszą robotę, nie wyłączając oczyszczania z fekaliów ustępów. Obserwując życie „bieżców”, właściwie wygnańców, Polaków zamieszkałych w ciasnych, dusznych barakach, nabrałem przekonania jak ciężko jest im żyć bez pracy, której znaleźć nie mogli, gdyż w Orenburgu i okolicach nie było żadnych dużych zakładów przemysłowych, a dorywcza praca nie zaspokoila potrzeb tych nieszczęśliwych ludzi.

Wybrał i do druku przygotował
Tadeusz Surdacki

Kazimierz Cieśliski

Urzędów podczas okupacji niemieckiej 1939–1944 r. Wspomnienia

Przedmowa

W roku 1959 staraniem oficyny drukarskiej „Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza” wyszła książka napisana przez dr. Zygmunta Klukowskiego *Dziennik lat okupacji Zamojszczyzny 1939–1944 r.* Autor opisuje w niej na żywo zdarzenia i przeżycia własne i swojego otoczenia niemalże w każdym dniu okupacji. Oddaje nastrój i klimat czasów. Jak ważna jest ta książka świadczy fakt, że posłużyła ona w procesie norymberskim jako dowód rzeczowy martyrologii narodu polskiego pod okupacją niemiecką.

Praca niniejsza nie rości sobie pretensji do aż tak wielkich celów. Pisana w 40 lat po zakończeniu wojny nigdy już nie odda klimatu ani nastroju tamtych dni. Niżej podpisany nie będąc jednak pewnym czy w Urzędowie znalazł się ktoś, kto by te rzeczy spisał – usiłuje to uczynić. Jest to garść faktów zanotowanych z pamięci autora, który był wtedy młodym chłopcem. Fakty te często nawet podane przypadkowo, nie w porządku chronologicznym, niech świadczą, co urzędowiacy przeżywali pod okupacją niemiecką. Byłoby niepowetowaną szkoda, gdyby uległo to zapomnieniu. Pragnę jeszcze dodać, że fakty opisane

tu miały miejsce na terenie całego kraju. Z tym, że na terenie Poznańskiego, Pomorza i Zamojszczyzny było jeszcze masowe wysiedlenie. Na terenach włączonych do Rzeszy świadczenia w zbożu, mięsie czy mleku tzw. kontyngenty były może mniej drastyczne, ale za to nie było żadnych szkół polskich, każdy polski mężczyzna musiał przed napotkanym Niemcem zdejmować czapkę z „Gut morgen”. Polacy byli bici i poniewierani za byle co przez miejscowych Niemców. W Urzędowie tego nie było, jako że Urzędów nie był na terenach włączonych do Rzeszy. Nie było też tu miejscowych Niemców. Ludność była etnicznie jednolita, polska. To ułatwiło przetrwanie. Z pracy tej wyłączam Żydów, bo tych Niemcy ostatecznie zlikwidowali niemal wszystkich.

*

15 września do Urzędowa weszło wojsko niemieckie, sam patrol. Wejście jego opisałem osobno w notatce *Migawki urzędowskie*. W nocy z 15 na 16 września na rynek w Urzędowie weszła niemiecka zmotoryzowana jednostka wojskowa. Gdy rano wybiegłem na rynek (mieszkałem blisko) – ten cały był załadowany niemieckimi pojazdami. Stały równo poustawiane wozy transportowe, czołgi, działa, moździerz, kuchnie. Żołnierze niemieccy zachowywali się poprawnie. Cywile, mieszkańcy Urzędowa z bojaźnią przechodzili obok nich, ci nie czynili im nic złego. Jednostka ta stacjonowała na rynku 2 tygodnie.

Pod koniec września 1939 r., gdy armie niemieckie zajmowały Polskę od zachodu – Armia Czerwona robiła to samo od wschodu. Polska była atakowana z dwóch stron. Do Urzędowa Armia Czerwona nie doszła, zatrzymała się na linii Wilkołaz–Zakrzówek. Podobno jakimś cudem do Urzędowa na przedmieście Góry przedarł się jedyny żołnierz rosyjski. Sam go nie widziałem, opieram się na oświadczeniu naocznych świadków. W tym czasie urzędowscy komuniści w osobach Piotra Gruchalskiego i jednego Żyda o nieustalonym imieniu i nazwisku między apteką a sklepem Spółdzielni wywiesili transparent witający Armię Czerwoną. Potem granica zaborów ustaliła się na rzece Bug i żołnierze Armii Czerwonej cofnęli się za tę rzekę. Transparent Niemcy kazali zrzucić na ziemię.

Po odjeździe jednostki zmotoryzowanej przez całą jesień i zimę były przemarsze w różnych kierunkach przez Urzędów zmotoryzowanych jednostek wojskowych. Wojsko to nocowało, bądź krótko przebywało w lokalu Szkoły Podstawowej mieszczącej się wówczas na plebanii. Z klas Niemcy wyrzucili ławki szkolne, a godło państwowe i portret prezydenta Mościckiego zdarli ze ściany i pokłuli bagnietami. Portret J. Piłsudskiego zostawili na ścianie. Wojsko to przebywało w Domu Ludowym i w domach wielu mieszkańców Urzędowa, wszędzie zachowując się poprawnie. Co nie przeszkodziło, że Niemcy z innego oddziału jadącego do Urzędowa od strony Kraśnika zabrali mojemu bratu Janowi Cieśllickiemu wóz i dwa konie z uprzężą, gdy orał pole w pobliżu kapliczki św. Elżbiety.

Zaczął się rozwijać między żołnierzami niemieckimi a ludnością Urzędowa handel wymienny. Za kilka jajek można było od żołnierza dostać butelkę benzyny, była ona w owym czasie bardzo cenna. Nie było zapalek i posiada-

czom zapalniczek benzyna była bardzo potrzebna. Zaczęły się pierwsze próby konwersacji. Żołnierz niemiecki mówił swoje – a kobieta z jajkami swoje. Żadne z rozmówców nie rozumiało, co mówi druga osoba. Ale śmiali się oboje. Z początku mało, potem coraz częściej zdarzało się, że młodzi żołnierze niemieccy zaczęli chodzić do urzędowskich dziewczyn. Nie chcę tu wymieniać z nazwiska, do których dziewczyn ci żołnierze chodzili, ale to wówczas wcale nie było poczytywane za coś złego. Młodość ma swoje prawa. To jedno. Po wtóre w okolicy Urzędowa nie było żadnych walk, mordów, zniszczeń. Nie było więc konkretnie za co nienawidzić Niemców. Bariera językowa dla młodych nie stanowi wielkiej przeszkody. Pamiętam, do jednej młodej ładnej dziewczyny przychodził młody ładny chłopak o imieniu Abel, żołnierz frontowy. Chłopak był wesoły, dziewczyna i jej rodzeństwo też. I ja zaglądając tam nieraz widziałem, że było wesoło i przyjemnie. Nie odczuwało się, że obcuje się z wrogiem.

Jeszcze nie było zapiekłej nienawiści, nie było zbrodni ani mordów. Ale wkrótce się to skończyło. Żołnierze niemieccy stacjonujący w Urzędowie przychodzili do sklepu spożywczego Spółdzielni i „kupowali” czekoladę w blokach czy innej postaci. Piszę w cudzysłowie „kupowali”, bowiem to kupowanie polegało na tym, że za dużą czekoladę płacili 5 lub 10 fenigów. To były dosłownie grosze. Ale to się nazywało kupowanie, nie brali bezpłatnie. My dzieci patrzyliśmy na to i zaczynaliśmy powątpiewać w naszą propagandę, która mówiła, że w Niemczech panuje głód, żyją tam na „ersatzach”, żywności sztucznej, zastępczej.

W jakiś miesiąc od zakończenia walk z wojskiem polskim, Niemcy na całym zajęтым przez siebie terenie Polski, także w Urzędowie, rozlepili plakaty o następującej treści: przedstawiały one zrujnowane miasto, wypalone oczodoły okien, ruiny i zgłiszcza. Nad nimi widniała postać prezydenta Mościckiego w pozie winowajcy, odwracającego głowę od tych zgłiszcz. Na dole widniał napis: „Oto twoje dzieło!”. Że to niby z jego winy powstały te ruiny i zgłiszcza! Tak więc winowajca zrzucił winę na obrońcę. Perfidia najwyższej klasy!

Już jesienią 1939 r. plebanię zajęli zandarmi niemieccy. Ksiądz musiał się zadowolić dwoma pomieszczeniami. Żandarmów było kilkunastu, młodych mężczyzn. Część z nich mówiła świetnie po polsku – piękną polszczyzną. Podobno pochodzili z Łodzi. Na furtce przy kancelarii parafialnej z żelaznych prętów umieszczony był napis: „Eingang” – „wejście” po niemiecku. Odtąd podczas długiego ich pobytu na plebanii przez cały czas słychać było krzyki katowanych tam ludzi. Najpierw wzięli się za Żydów. Tych za byle „przewinienie” katowano w okrutny sposób. Z czasem, gdy Żydów ubywało – wzięli się i za Polaków.

Między zandarmami wsławił się szczególnie jeden nazwiskiem Reichert. Podobno z matki Czeszki, ojca Niemca sudeckiego. Mieszkał przed wojną w Radomyślu nad Sanem. Nieduży, szczupły, polski język znał dobrze. Ten był względem Polaków wyjątkowo okrutnym sadystą. Bił, znęcał się nad Polakami bardzo. Mnie, wówczas 14-letniego chłopca, pobił za świecenie latarką kieszonkową. Ale do czasu. Jesienią 1943 r. w Kraśniku oddziały Kedywu Armii Krajowej wykonały na nim wyrok

śmierci. A jeszcze w przeddzień Reichert zmasakrował mieszkańca Urzędowa, starszego człowieka nazwiskiem Kałużyński Marceli. Pamiętam, w księżym ogrodzie pod Wałem Obronnym żandarmi urządzili sobie strzelnicę. Do ustawionych butelek strzelali z pistoletów. Gdy trafili – cieszyli się, mówiąc: „Flasze kaput”. Ja stałem na wale i obserwowałem tę scenę.

Będąc już w Warszawie, zgadałem się z jednym pracownikiem technicznym fabryki F.S.O. gdzie pracowałem 30 lat. Ten, gdy się dowiedział, że pochodzę z Urzędowa, powiedział, że u was była „słynna” na całą okolicę żandarmeria niemiecka. Podczas okupacji jeździł ten znajomy razem z innymi ludźmi z Warszawy do Zakrzówka kupować od rolników żywność, mięso. W Zakrzówku miejscowi ludzie ostrzegali ich, żeby uważali na żandarmów z Urzędowa. Czają się oni na szosie łączącej Kraśnik z Lublinem i handlarzom zabierają żywność, a ludzi wsadzają do więzienia. W samym Urzędowie ci żandarmi tego nie robili, działali w szerszym promieniu. Również jesienią 1939 r. żandarmi niemieccy werbowali do współpracy byłych policjantów polskich. Większość z nich uchylała się od tego. Nieliczni z urzędowskich policjantów (Kubicz) przystali na tę współpracę.

Przy końcu ulicy 3-go Maja (obecnie Janowska), przy której mieszkałem, w domu Antoniego Różyckiego, mieszkał wówczas starszy już wiekiem policjant nazwiskiem Dudziak z rodziną. Jestem raz na podwórzu u siebie, a z ulicy dobiega mnie straszny płacz. Wybiegam na ulicę i widzę jak dwie dorosłe córki owego policjanta prowadzą go do domu. Całą twarz miał pokrwawioną, posiniaczoną. Był półprzytomny. Okazuje się, że Niemcy go wezwali i zażądali współpracy z nimi. Odmówił, tłumacząc się podeszłym wiekiem. Za to go tak strasznie zmasakrowali.

Jeszcze w 1939 r. znany konspirator z okresu I wojny światowej Robert Bijasiewicz z Błażem Dzikowskim założyli organizację niepodległościową, pod nazwą Służba Zwycięstwa Polski, późniejsze ZWZ i AK. Gestapo wysłедиło tę organizację i w dniu 10.06.1940 r. Niemcy aresztowali niemal wszystkich jej członków. Tylko trzem udało się zbiec i ci ukrywali się przez całą okupację. Aresztowani po straszliwym śledztwie w dniu 15.08.1940 r. zostali rozstrzelani w Lublinie. Z nich pamiętam następujące nazwiska: Błażej Dzikowski, Aleksander Grabowski, Czesław Gajewski i jeszcze 10 osób niezidentyfikowanych. Ocalili: Mikołaj Wośkowski, Bolesław Grabowski i Waclaw Gałkowski.

Początkiem 1940 r. Niemcy zażądali pewnej ilości krów od mieszkańców Urzędowa. Ci niezbyt chętnie kwapili się z ich oddaniem. Wówczas Niemcy zażądali, by mieszkańcy Urzędowa wszystkie posiadane krowy wyprowadzili na rynek pod karą śmierci. Chcąc czy nie – ludzie krowy przypędzili. Tu otoczyło je wojsko i krowy popędzono w stronę Kraśnika. Pamiętam ten straszny płacz kobiet, gdy im odbierano niejednokrotnie jedyną żywicielkę rodziny. Ostatecznie okazało się to nie takie straszne. Żołnierze niemieccy okazali się przekupni. Za łapówki większość krów powróciła do swoich właścicieli. Oczywiście pewną ilość krów Niemcy zabrali.

Wiosną 1940 r. Niemcy zarządzili tzw. rekwizycję, czyli zabór, rabunek żywności od mieszkańców miasteczka.

Grupa żandarmów i żołnierzy pod komendą oficera penetrowała chłopskie obejścia. Dom za domem, chlew za chlewem, stodołę za stodołą. Jeśli tam znaleźli, według swego uznania, większą ilość zboża, świń, krów – bez żadnego odszkodowania tę żywność zabierano rolnikowi. Pamiętam, płaczu wtedy było w Urzędowie co nie miara. Jednemu zabrano dwie świnię, drugiemu krowę, trzeciemu większą ilość zboża. W moim domu ja jeszcze byłem dzieckiem, brat – młody 24-letni chłopak, ojciec – chory starzec 74-letni. Nie miał kto zarządzić, żeby coś schować, nikt nie przypuszczał, że Niemcy tak zrobią. Zabrano nam wtedy dwie duże beczki zboża.

W tym czasie na terenie Pomorza i Poznańskiego Niemcy przeprowadzali wysiedlanie Polaków. W największe mrozy nocą żandarmi wpadali do upatrzonych wcześniej zagród polskich i dawali pół godziny na ubranie się i przygotowanie do wyjazdu. Wolno było im zabrać ze sobą tylko bagaż ręczny. Ludzie wypędzani często tracili głowy i brali rzeczy najmniej potrzebne. Niemcy zabierali tych ludzi najpierw do punktów zbornych, małych obozów, a potem rozwozili po całej Generalnej Guberni, rozmieszczając ich po poszczególnych gospodarstwach chłopskich. Warunki jazdy w pociągach towarowych były bardzo ciężkie. Wiele dzieci i osób starszych umierało po drodze. Po przybyciu na miejsce byli w okropnym stanie fizycznym i psychicznym. Ograbieni ze wszystkiego, w obcym środowisku – przeżywali strasznie swoje nieszczęście. Nazywaliśmy ich „wygnańcami”. Niektórzy z nich, bardziej przedsiębiorczy, żyli znośnie, ale większość żyła bardzo biednie, na łasce ludzi. Pamiętam, podwoła przywiozła raz na rynek przed Gminę [kobietę] z którejś z okolicznych wsi. Dostała pomieszczenia zmysłów. Powtarzała w kółko: „Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha swego”. Nie wiem, co się z nią dalej stało, na pewno zabili ją Niemcy.

Przez całą okupację burmistrzem był Łasiński, wygnaniec z Poznańskiego. Był gorliwy w wypełnianiu niemieckich rozkazów. Spotkała go za to kara. Pod koniec bujnego rozkwitu partyzantki (wtedy i synowie burmistrza znaleźli się w partyzantce) jeden z oddziałów zlikwidował go. Ale o tym później. Śmiali się ludzie w Urzędowie z jego poznańskiej mowy. Gdy ogromna kolumna podwód, wozów chłopskich jechała do lasu po kopalniaki dla Niemców – poznaniak ten krzychał: „Jechać, nie stojać”. I tak już pozostało. Wszyscy nazywali go: „Jechać, nie stojać”. Prawie wszyscy wygnańcy byli polskimi patriotami. W późniejszym czasie młodzież ich poszła do partyzantki. Ale zdarzały się wyjątki. W Urzędzie Gminnym pracowało dwóch wygnańców. Jeden nazywał się Ludwin, drugi – nazwiska już nie pamiętam. Jeden z nich, właśnie Ludwin trafił do partyzantki – a drugi poszedł na służbę do gestapo. Ale to były raczej sporadyczne przypadki.

Latem 1940 r. z niewiadomych przyczyn wybuchł na Bęczynie pożar, który strawił znaczną część przedmieścia, szczególnie budynków gospodarczych. Budynki te były drewniane i kryte słomą. Podczas tego pożaru w płonących zabudowaniach często wybuchały pociski różnego kalibru, świadczące, że mieszkańcy pochowali w nich amunicję. Gdy pożar dogasał, z tzw. terenu, to znaczy z Kraśnika Fabrycznego przyjechali niemieccy

junacy z łopatami w celu gaszenia pożaru. Po niemiecku zwali się Baudienst – Służba Budowlana. Ale pożar już dogasł. Niemcy ci Polakom zgrupowanym przy pożarze nic nie robili. Bo w terminie późniejszym, gdy do pożaru prócz Straży Pożarnej biegli i inni mężczyźni – tych Niemcy łapali i wywozili do obozów zagłady, do więzień, albo na roboty do Rzeszy.

W roku 1940 rozpoczęło się werbowanie ochotników na roboty do Niemiec. Początkowo niezbyt wielu, ale znalazło się trochę ochotników z Urzędowa, ludzi bezrolnych, którzy dobrowolnie zgodzili się na wyjazd. Wynikało to z bezrobocia w Urzędowie, jak również i nieświadomości warunków, w jakich będą przebywać i pracować w Rzeszy. Ale szybko przyszło otrzeźwienie. Gdy pierwsi ochotnicy zaczęli pisać do domu alarmujące listy o ciężkich warunkach pracy, o złym traktowaniu ich w Rzeszy – więcej nie było chętnych. Ale to Niemcom wcale nie przeszkadzało. Przez cały czas okupacji młodzi mężczyźni i kobiety byli siłą łapani i wywożeni na roboty do Rzeszy. Organizowano formalne obławy na młodzież polską celem dostarczenia kontyngentu darmowej siły roboczej dla Reichu – jak się wówczas mówiło. Łapani byli organizowane pod różnym kątem. Jeszcze dobrze, gdy złapanych wywieziono „tylko” na roboty, a nie do więzienia w Lublinie jako zakładników, albo do obozu zagłady na Majdanku, czy w Oświęcimiu. Złapany mógł wtedy powiedzieć, że miał szczęście. Nic więc dziwnego, że szczególnie młodzież ukrywała się, mało pokazywała w miasteczku. Na okrzyk: „Gestapo!”, gdy samochody żandarmerii wjeżdżały na rynek – każdy uciekał, krył się, gdzie tylko mógł. Ksiądz Łazicki na nabożeństwach w niedzielę z ambony wręcz nawoływał, by młodzież nie przychodziła do kościoła ze względów bezpieczeństwa. Wprawdzie w Urzędowie się to nie zdarzyło, ale były wypadki w okolicy, że Niemcy podczas nabożeństwa otoczyli kościół i zabierali młodzież.

W kościele zakazany był śpiew następujących pieśni: hymnu narodowego (*Jeszcze Polska nie zginęła*), *Boże coś Polskę*, *Roty*, a nawet pieśni religijnej *Serdeczna Matko, Opiekunko Ludzi*. Ta pieśń zakazana była z uwagi na słowa: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy, zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy”. A przecież „wygnańców” z Poznańskiego i Pomorza było wtedy w centralnej Polsce dużo.

Wracając do byłej Policji Państwowej, większa część jej członków odmówiła współpracy z Niemcami. Był to komendant posterunku, nazwiskiem Pidek, posterunkowi Gil i Dudziak. Byli oni albo pobici przez Niemców i pozostawieni w spokoju, albo ukrywali się, jak komendant Pidek. Z tych, co przystali na współpracę z Niemcami stworzyli Policję Polską do swoich usług. Do nich należeli: Kubicz, Flaszecki, Małek i jeszcze kilku innych, których nazwisk nie pamiętam. Policjant Kubicz „urzędował” przez cały czas okupacji niemieckiej w Urzędowie. Mieszkał przy ulicy 3-go Maja, obecnie Janowska, naprzeciwko mojego domu. Nie powiem, dla najbliższych sąsiadów nie był zły, choć nos wsadzał wszędzie. Ale opowiadał mi brat Jan, że gdy często jeździł z Policją w „podwoły” do okolicznych wsi – Kubicz wykazywał się jako wielki służbista wobec ludności. Rozkazy wykonywał wszystkie, łącznie z zabijaniem ludzi. Była wielka bieda, nie

było co jeść – ale skoro świt pod drzwiami Kubicza stała kobiecina ze wsi z kobiałką wypełnioną mięsem, jajami, masłem czy innym jedzeniem. Kobieta ta odjęła sobie i swojej rodzinie od ust, aby zanieść Kubiczowi, by on interweniował u Niemców w sprawie rodziny tej kobiety. Chodziło o aresztowanych, wywiezionych, itp. Przez cały okres widziałem te kobieciny pod drzwiami u Kubicza. Czy on faktycznie ludziom pomagał, tego nie wiem, nie słyszałem. Kubicz kiedyś schwytał młodego chłopaka Zgrajewicza, który zginął na Majdanku. Drugi policjant nazwiskiem Małek „wślawił” się tym, że schwytał ukrywającego się dwudziestokilkuletniego Mieczysława Dębickiego i kijami razem z innymi policjantami zabili go. A było to tak: Mieczysław Dębicki popełnił drobne wykroczenie, chyba kradzież drzewa w lesie i miał się stawić w Urzędzie Gminnym. Policja zaczęła go szukać, on zaczął się ukrywać. Ukrywał się około 1 roku. Ale proszę pamiętać, że to były pierwsze lata okupacji. Niemcy byli wtedy silni. Wszędzie po miastach i miasteczkach stały silne garnizony wojska i żandarmerii trzymające okolicę w ryzach. Partyzantki jeszcze nie było i ukrywać się było bardzo ciężko. W końcu policjanci, obserwując żonę Dębickiego, gdy ta zanosila mu jedzenie do stodoły – wysłedzili jego miejsce pobytu. Złapali go i okrutnie zamordowali (kijami). Pamiętam, wiosną 1942 r. jechaliśmy z bratem Janem w pole i spotkaliśmy tegoż Dębickiego. Brat był jego kolegą. Dębicki ukrywał się już wtedy przeszło rok i był już bardzo wynędzniały. Pokazywał bratu pistolet, który nosił dla obrony. Niedługo potem złapano go i okrutnie zamordowano. Dla większego zohydzenia władze niemieckie nakazały pogrzebać go na żydowskim cmentarzu tzw. kierkucie. Po zakończeniu wojny szczątki jego ekshumowano i pochowano na cmentarzu. Policjanci, którzy brali udział w jego zamordowaniu: policjant Małek, co się z nim dalej stało – nie wiem, policjant Flaszewski został zabity w potyczce z jakimiś uzbrojonymi ludźmi w okolicznych wsiach.

Wiosną 1941 r. doniesiono Niemcom, że na cmentarzu grzebalnym zostało pochowane jakieś polskie uzbrojenie. Byłem świadkiem, jak na tymże cmentarzu przy murze cmentarnym od strony Urzędowa wykopano chyba butle na tlen, a może to były pociski artyleryjskie. Tak to wyglądało.

W tym też czasie widziałem, jak żandarmi niemieccy przyciągnęli samochodem z okolicznej wsi polskiej wojskowy samochód ciężarowy, bez skrzyni. Pamiętam, uruchamiali go, cieszyli się zdobyczą.

„Teren”

Cztery kilometry w kierunku południowo-wschodnim od Urzędowa był od wieków stary, dębowy las, dąbrowa. Las ów nosił nazwę Ordynacki, a to z tej przyczyny, że był własnością ordynata Zamojskiego.

W okresie międzywojennym, gdy rząd podjął decyzję o budowie COP-u (Centralnego Okręgu Przemysłowego), wybór padł na ów las jako miejsce właściwe do budowy fabryki. Już w 1936 r. w lesie tym pojawili się mierniczo- wie i wytyczyli rejon przyszłej budowy. Z tym, że teren przeznaczony pod budowę fabryki wyznaczyli po lewej

stronie szosy (idąc od Urzędowa do Kraśnika), a teren lasu będący po prawej stronie szosy został przeznaczony pod budowę osiedla mieszkaniowego. W roku 1936 stare drzewa zostały wycięte, teren fabryki i osiedla został ogrodzony płotem z drutu kolczastego. Zaczęły zjeżdżać z całego kraju wielkie rzesze chętnych do pracy przy budowie fabryki. W owym czasie rejon Urzędowa, Kraśnika i okolicy był wybitnie rolniczy, o urodzajnych glebach, gdzie żywność była bardzo tania. A musimy pamiętać, że w tym czasie o pracę nie było lekko, więc kto się dostał do pracy – trzymał się jej kurczowo. Ludzie, którzy przyjechali do pracy, nie mieli gdzie mieszkać. Gnieździł się po stodołach, szopach i strychach, byle trzymać się tej pracy. Nie było dźwigów, koparek i innych urządzeń – fabryka powstawała przy pomocy prymitywnych narzędzi (łopata i kilof). Ale fabryka powstawała bardzo szybko, jako że była budowana za gotowe pieniądze z pożyczki francuskiej. Budowały ją firmy prywatne.

Równoległe z fabryką – po prawej stronie szosy powstawało osiedle mieszkaniowe. Wszystko zaczęło się od zera. Od lasu i poręby w lesie. Najpierw było miejsce, czyli TEREN pod fabrykę i osiedle – a potem powstawały jedno i drugie. W mowie potocznej mówiło się: „Dokąd idziesz? – Na teren”. Nie do osiedla fabrycznego, nie do fabryki – bo ich jeszcze nie było, a na „teren”. I dziwna rzecz, fabryka i osiedle zostały już dawno wybudowane, a „teren” w mowie ludzi w okolicy pozostał. Okazuje się, że samo pojęcie jest trwalsze od rzeczywistości.

Do września 1939 r. fabryka została w zasadzie wybudowana, a nawet zaczęła produkować. Nosila ona nazwę Państwowa Wytwórnia Uzbrojenia – Fabryka Amunicji nr 2 w Dąbrowie-Bór. Osiedle mieszkaniowe po drugiej stronie szosy nie posiadało żadnej nazwy. Po prostu osiedle fabryczne. W latach sześćdziesiątych osiedle to nazwano Kraśnik Fabryczny. Po kilku latach Kraśnik Fabr. został włączony w organizm administracyjny Kraśnika „Starego” – jak się tu nieraz mówi – tworząc administracyjną całość.

Od 1940 r. na terenie osiedla Kraśnik Fabr. stacjonowało wojsko niemieckie, które intensywnie ćwiczyło. Obserwowałem nieraz te ich ćwiczenia. Ich dryl wojskowy. Zaciętość w wykonywaniu zadań i znęcaniu się nad żołnierzami. Widziałem, jak kilku żołnierzy przez rowy i inne wertepy przeciągało średniej wielkości działą, celem zmiany stanowiska bojowego. Widziałem ciężką pracę tych żołnierzy, pot lejący się z nich strumieniem. Tak przygotowywali się do następnych podbojów. Pamiętam też, jak raz ci niemieccy żołnierze z „terenu” i niemieccy junacy, tzw. Baudienst, urządzali sobie marsz do Urzędowa z orkiestrą. Gdy kolumna marszowa zbliżała się do miasteczka, orkiestra zagrała – pół miasteczka wyległo ją oglądać. Bo też i dziwna była ta orkiestra. Składała się z brząkał i piszczałek. Zaś żołnierze maszerowali z bronią, a junacy z łopatami.

Na tymże osiedlu Kraśnik Fabryczny tuż przed wybuchem wojny wybudowano część bloków mieszkalnych i do nich zaczęli wprowadzać się fachowcy, pracownicy fabryki. Niemcy, gdy zajęli osiedle, usunęli z bloków mieszkających tam Polaków. Osiedle zostało zajęte przez wojsko niemieckie. W blokach mieszkali żołnierze,

w budynkach niewykończonych stały konie, samochody i inny sprzęt wojskowy. Potem w terminie późniejszym Niemcy sprowadzili tam folksdojczy z Jugosławii, starszych dziadków (młodzi poszli na front), którzy pilnowali Żydów z getta i Polaków przy pracy.

Fabryka – umiejscowiona po lewej stronie szosy, jak już pisałem – tuż przed wojną zaczęła produkcję. Przyszła wojna. Ja rozpocząłem naukę w Prywatnym Technikum Mechanicznym w tejże fabryce z dniem 1 września 1939 r. Tydzień czasu jeździłem na zajęcia do fabryki, na halę nr 6. Po tygodniu wojny obrabiarki zaczęto zrywać z hal fabrycznych, ładować do wagonów i razem z obsługą wywozić na wschód, na Sarny. Kilka razy fabryka była bombardowana. Ale była to akcja, rzekłbym, symboliczna. Nadleciało kilka samolotów na ogromnej wysokości nad fabrykę i zrzuciło kilka bomb w las, nie wyrządzając nikomu nic złego. Okresy nalotów spędzaliśmy w rowach wykopanych między halami. Potem nas, uczniów już na halę nie wpuszczano. Ludzie z obsługi obrabiarek, którzy z maszynami pojechali na wschód po upływie ok. 1 miesiąca czasu wracali pieszo do Urzędowa i okolicy. Oberwani, zawszeni, często pobici przez Ukraińców. Opowiadali, że już za Bugiem otoczyło ich wojsko rosyjskie i ludność ukraińska, która ich ograbiła ze wszystkiego – cudem udało im się wrócić do domu. Maszyny tam pozostały. Tymczasem do fabryki 15 września wkroczyli Niemcy. A wyglądało to tak: Niemcy nie wiedząc czy na terenie fabryki nie przebywa załoga polska – z Kraśnika zabrali kilku znanych, szanowanych obywateli m.in. księdza prałata o włoskim nazwisku Scipio del Kampo – i tych patrol niemiecki pędził przed sobą. I tak weszli na teren fabryki. Ostrożność ta była zbyteczna, wojska polskiego już na terenie nie było.

W czasie późniejszym na terenie samej fabryki Niemcy rozebrali halę nr 6. W hali nr 4 produkowali skrzydła do samolotów Henkel. Inne hale po opróżnieniu ich z resztek polskich urządzeń Niemcy przeznaczili na magazyny zbożowe, po niemiecku Getreidelager. Pracowało tam stale sporo Polaków m.in. z Urzędowa. Pracowali oni na wolnej stopie. Dorywczo również sołtysi wyznaczali ludzi z Urzędowa do pracy przy zbożu. I ja też tam kilka dni przepracowałem, mieszając zboże by nie zatechło. Oczywiście bezpłatnie. Mieszkając już w Warszawie zgadłem się z koleżanką, pochodzącą z Ożarowa z Kieleckiego. I od nich brali ludzi do tej pracy – i ona też tam pracowała. Ale to już są czasy późniejsze.

My wracamy już do początków okupacji. Około 1941 r., nie pamiętam już za co, Niemcy spacyfikowali 5 rodzin w Urzędowie. Wyrzucili te rodziny z domów, a cały ich majątek ruchomy zabrali. Jedna z tych rodzin mieszkała na początku przedmieścia Góry.

Chciałem tu poruszyć problem donosicielstwa, jaki występował u Polaków podczas okupacji. Nie słyszałem tego od żandarmów, ale wśród mieszkańców Urzędowa krążyła wieść, że sami żandarmi narzekali, że zalewa ich fala donosicielstwa. Nie chcę w tej sprawie zabierać głosu – byłem wtedy dzieckiem i nic nie widziałem, ale fakt znalezienia polskiego samochodu wojskowego w stodole u chłopa, czy broni zakopanej na cmentarzu świadczy, że ktoś musiał się tym trudnić.

Przez cały czas okupacji na rolników posiadających wóz i konie ciężkim brzemieniem zwalały się tzw. podwoły. Co to znaczy? To znaczy, że co 2 lub 3 dni sołtys przychodził do rolnika i nakazywał jechać do lasu po drzewo, tzw. kopalniaki, które trzeba było wywozić z lasu do stacji Kraśnik. Albo wozić kamienie z Kraśnika do Annopola. Albo jechać z zandarmami czy policją do różnych okolicznych miejscowości. Oczywiście wszystko za darmo. Było to bardzo wielkie obciążenie dla rolnika. Niszczył się wóz, uprząż, zajeżdżały konie. Rolnik tracił nieraz cenny czas – a jechać musiał. W naszej rodzinie ja byłem jeszcze za mały, ale brat Jan najeżdżał się bardzo dużo, przez co stracił wiele zdrowia i sił. Nieraz sypał śnieg, był mróz, odwilż czy szaruga – rolnik musiał bez względu na pogodę jechać i ciężko pracować – i on i konie za darmo. Te słynne „przeklęte” podwoły odebrały zdrowie i siły wielu Polakom. Następnym straszliwym ciężarem, jaki zważył się wtedy na ludność polską, były tzw. kontyngenty. Tak nazwaliśmy świadczenia naturalne w postaci mięsa, zboża, jaj i mleka, które rolnicy polscy musieli Niemcom oddać. Z tym, że kontyngenty te były tak wysokie i musiały być oddane w tak krótkim terminie, że fizycznie przekraczało to możliwości większości rolników. A Niemcy nie żartowali. Wielu rolników było bitych i maltretowanych przez Niemców za nieoddane kontyngenty (np. Golaś z ul. Wodnej), wielu za to powędrowało do więzienia, czy obozu zagłady. Były wypadki, że rolnicy dostawali pomieszania zmysłów z tego powodu. W Urzędowie też.

Jeśli jakaś wieś, czy poszczególni rolnicy nie byli w stanie oddać na wyznaczony czas zboża kontyngentowego – wtedy Niemcy spędzali ludzi z innych gromad i wspólnie zboże u tych rolników było młócone i oddawane Niemcom. Nikt się wówczas rolnika nie pytał czy on z rodziną będzie miał co jeść, czy będzie miał zboże na siew. To Niemców nie obchodziło. Pamiętam jak raz w 1942 r. wypędzono nas w podwoły do wsi Leszczyna. Tam zjechało ze 30 furmanek z okolicy. Niemcy kazali kłaść chłopom zboże na furmanki i ogromna kawalkada chłopskiego zboża pojechała na stację kolejową Kraśnik. Chłopi mogli nie jeść. Niemcy musieli swoje dostać. Rolnicy młócili zboże dzień i noc, by na czas oddać je Niemcom – i w ten sposób uniknąć represji.

Do czasu dostarczenia Niemcom wszystkich kontyngentów młyny były pozamykane. A ponieważ było niemożliwością oddać tę ilość, którą wyznaczili Niemcy – praktycznie młyny zawsze były zamknięte. Skutek był taki, że choć ktoś miał trochę zboża dla własnego spożycia – nie miał go gdzie zmięlić. Ludzie sobie radzili jak mogli. Robili prymitywne młynki, żarna, które łamały ziarno na 3 części i z tego piekli chleb. Większe młynki do kawy służyły również do tego celu. Pamiętam, brat Janek przyniósł raz taki młynek. Cała rodzina składająca się z 5 dorosłych osób – przez całą noc kręciła tym młynkiem i ledwo „zmięliśmy” ok. 20 kg zboża. Dziś, gdy sobie przypomnę – zaczynam strasznie zlorzeczyć. Bo dziś z moim doświadczeniem zawodowym (mam zawód ślusarza) to koń kręciłby kieratem za stodołą, ja dłubałbym w uchu palcem, a mąka by się sypała. Ale cóż, ja wtedy byłem dzieckiem i takich rzeczy nie potrafiłem zrobić.

Nie zawsze taki młynek można było pożyczyć (oczywiście w tajemnicy, bo to było karalne).

Nie zawsze też było co zmięlić, bo co urosło trzeba było oddać Niemcom. A skutek był taki, że w naszej średnio zamożnej jak na urzędowskie stosunki rodzinie – chleba nie widzieliśmy pół roku. Tu już nie chodziło o to, żeby było coś do chleba, ale samego chleba się pragnęło. Niemcy w zasadzie nie brali żywności bezpłatnie. Płacili, ale ok. 1/10 ceny, jaka była na rynku za dany towar. Dawali też pewną ilość wódki – rozpijając w ten sposób społeczeństwo. Dawali również kartki na tzw. becukszajn, na skórę na buty, na towary łokciowe czy narzędzia żelazne. Ale były to tak znikome ilości, że odgrywały niewielką rolę w życiu, w polepszaniu bytu. Odnośnie obuwia ludzie radzili sobie w ten sposób, że robili buty o spodach drewnianych, podczas chodzenia kołatając tymi drewniakami i przeklinając Niemców. Ja również chodziłem w drewniakach, również przeklinałem Niemców. I gdyby ktoś wówczas mi powiedział, że moje dzieci same, dobrowolnie z własnej a nieprzymuszonej woli będą chodzić w drewniakach – nie uwierzyłbym. A jednak chodzą. Nie było materiałów włókienniczych na ubrania. Brało się poniemieckie worki z mąki, malowało na kolor granatowy i z tego szyło spodnie. Dziś młodzież chodzi w takich samych spodniach i te różne rifle, wranglery itp. są bardzo modne.

Osobny problem to wódka. Jak już pisałem, Niemcy za oddane kontyngenty dawali wódkę. I w niejednej rodzinie chleba nie było, ale wódka była. Dalej – przez całą okupację rolnicy robili dla własnego użytku wielkie ilości samogonu, inaczej bimbru. Niemcy patrzyli na to przez palce. Dewizą ich było: pijany Polak – to dobry Polak. Wiedzieli, że pijany Polak będzie im uległy, a trzeźwy będzie usiłował się bronić.

Bezpośrednimi wykonawcami poleceń władz niemieckich, różnych landratów i innych kreisleiterów byli sołtysi. Byli oni różni. W naszej Gromadzie (jest to jednostka administracyjno-terytorialna na wsi) Urzędów – miasto i ul. Wodna – był początkowo przedwojenny sołtys, Walenty Goliński. Z początkiem okupacji, widząc coraz większe żądania Niemców – pod pretekstem braku zdrowia zrezygnował z tej funkcji. Sołtysem Gromada wybrała Tadeusza Więckowskiego. Ten, młodszy wiekiem, umiejętnie lawirował między koniecznością a możliwościami ludności. I nawet nieźle na tym wychodził. W każdym razie po wyzwoleniu nikt nie miał do niego pretensji. Z innymi sołtysami było gorzej. Ale o tym później. Jak już pisałem, tuczniaki należało za grosze oddać Niemcom. Gdy wykonało się w 100% kontyngent mięsny, wtedy rolnik dostawał od władz niemieckich zezwolenie na ubój tuczniaka dla własnego spożycia. 100% planu nie można było oddać nigdy, gdyż w skali rocznej był on za wysoki, przekraczający możliwości każdego gospodarstwa rolnego. A trzeba też wiedzieć, że Niemcy wprowadzili kolczykowanie świń i krów. Polegało to na tym, że z chwilą urodzenia się cielaka lub świnek – przychodził do zagrody specjalny urzędnik tzw. kolczykarz i specjalnymi szczypcami zakładał zwierzęciu na ucho zawiniętą blaszkę mosiężną, raniąc tym nieco ucho zwierzęcia – ale i ewidencjonując go, skutkiem czego właściciel nie mógł go

ani sprzedac, ani zabic i zjeść. Musiał go oddać Niemcom. Na tym kolczyku była wyryta data założenia kolczyka i nr ewidencyjny. Zakładając, że tucznik do momentu uboju rośnie ok. 11 miesięcy – po tym czasie właściciel musiał go oddać Niemcom. Ludzie radzili sobie jak mogli i jak umieli. Jeden tucznik rośnie szybciej, drugi wolniej. Tego Niemcy sprawdzić nie mogli. I ten fakt sprawiał możliwość spożycia tego tuczniaka przez właściciela. Mianowicie właściciel przekładał kolczyk z ucha świni dużej na ucho świni małej. Sztuka się zgadzała, a tucznik „nie urósł”. Pamiętam, i ja przekładałem z bratem kolczyki z tuczniaków dużych na małe u siebie, pomagałem to robić i u sąsiadów. Był to bardzo częsty sposób na spożycie własnego tuczniaka. Ludzie sobie radzili i w ten sposób, że hodowali tuczniaki nie w chlewach a w stodołach, dziurach w ziemi, stogach zboża itp. A wszystko po to, by Niemcy nie wiedzieli o tej świni i by właściciel mógł ją z rodziną spożyć. Ale trzeba też wiedzieć, że za nielegalny ubój tuczniaka groziły wielkie kary, z karą śmierci włącznie. Wprawdzie w Urzędowie to się nie zdarzyło, ale w innych rejonach kraju takie wypadki były.

Jeśli chodzi o nastroje ludności po klęsce wrześniowej, to nastąpił w społeczeństwie szok. Zawiodły wiadomości rządu o mocarności Polski, o nieoddaniu ani guzika z munduru. Nastąpił marazm. Ludzie nie wiedzieli co myśleć i co robić. Wprawdzie znalazły się środowiska, które zaczęły nie tylko planować, ale i coś robić (jak Bijasiewicz i Dzikowski – ZWZ), ale były to jeszcze przypadki nieliczne. Większość społeczeństwa trwała w marazmie, czekając co będzie dalej. Istniało wtedy takie powiedzenie: „Im słończko wyżej tym Sikorski bliżej”. Pokładano w nim duże nadzieje. Przyszła wiosna, potem lato 1940 r. Padła Francja, a gen. Sikorski nie przybliżył się, a oddalił.

Niemcy stopniowo zajmowali dalsze państwa. Po zajęciu Francji zajęli Norwegię, potem Bałkany. Pamiętam, z chwilą zajęcia bodajże Grecji nakazali ludności polskiej, by na każdym budynku wzdłuż ważniejszych dróg właściciele posesji wymalowali na ścianach budynków dużą, ok. 1 metr wysokości, literę V – Viktoria (Zwycięstwo). Gdy się jechało szosą z Urzędowa do Kraśnika, na wszystkich budynkach przy szosie widniały te litery. Trzeba przyznać, że Niemcy również umieli propagować swoje zdobycze. W każdym większym mieście ulice zmieniły nazwy polskie na niemieckie. W Urzędowie tylko jedna ulica Wodna dostąpiła „zaszczytu” przemienienia jej nazwy na „Hitlerstrasse”, ul. Hitlera. Pewna lepsza część lokali rozrywkowych, restauracji czy sklepów była przeznaczona tylko dla Niemców. W drzwiach tychże widniały napisy: „Nur für Deutsche”.

Urzędów był za mały, by posiadać takie lokale czy sklepy, niemniej jednak w północno-wschodnim rogu rynku w domu Jacniackich była wtedy chyba restauracja i w jej oszklonych drzwiach widniał ten dumny napis: „Nur für Deutsche”!

Pamiętam też na rynku przed budynkiem Gminy była tablica propagandowa, a na niej widniała mapa Europy i nie tylko Europy. Rejony tejsze mapy, które zajęli Niemcy lub które były pod wpływem niemieckim pomalowano na czarno lub zakreskowano czarnymi kreskami. Stałem

przed tą mapą i oniemiałem. Prawie cała Europa była albo zajęta przez Niemców, albo pod ich wpływami. Patrząc na tę mapę ogarniało człowieka zwątpienie, czy kiedykolwiek wyrwiemy się z niemieckiego jarzma. W każdej Gromadzie były takie tablice, na których sołtysi rozlepiali rozporządzenia władz niemieckich, tzw. Bekanntmachung, w języku polskim i niemieckim. Było rozlepiane coś w rodzaju gazetki ściennej, gdzie na wielu fotografiach pokazywano zwycięskie walki wojsk niemieckich na Bałkanach, w Afryce, a potem na froncie wschodnim.

Były rozlepiane afisze propagandowe zachęcające do wyjazdu na roboty do Niemiec. Na kilku obrazkach była pokazana historia młodego Polaka, który będąc w kraju cierpiał biedę. Wyjechał na roboty do Niemiec i po pewnym czasie wrócił bogaty. Pojechał, nie zważając na wrogą propagandę. Z tej fotografii pamiętam jeden obrazek przedstawiający dwie kumy szepczące sobie na ucho. Podpis brzmiał: „Zośce kumoszki szepczą – Tam kościoły podpalają”.

Spółeczeństwo jednak wiedziało co o tym myśleć i na roboty do Reichu jechał ten, którego siłą zawieźli. W Kraśniku był tzw. Arbeitsamt, Urząd Pracy, i ten kierował ludzi do niewolniczej pracy. Znana była wtedy piosenka mówiąca o niewolniczej pracy młodzieży polskiej w Niemczech. Pamiętam tylko jej fragment, 2 zwrotki:

*Bo ta Germania to kraj daleki,
są tam pagórki, doliny
Niejeden ojciec, niejedna matka nie wie,
gdzie są tam jej syny.
Bo ta Germania to kraj daleki,
są tam doliny, pagórki
Niejeden ojciec, niejedna matka nie wie,
gdzie tam są jej córki.*

A w ogóle należy stwierdzić, że stopa życiowa mieszkańców Urzędowa była wówczas bardzo niska. Po prostu była wtedy wielka bieda. Nie było w czym jeść, nie tylko w czym chodzić. Człowiek nie był pewny dnia, ani godziny. W każdej chwili mogli wpaść Niemcy, każdego jako podejrzanego zabrać z domu i od razu rozstrzelać, wysłać do obozu zagłady, do więzienia na zakładnika, czy w najlepszym wypadku wysłać do roboty do Reichu. Przeżyć wówczas dzień w spokoju – to było dużo.

Nie było w ogóle leków i sytuacja ludzi chorych była tragiczna. Chorzy byli skazani na zagładę. Miałem kolegę nazwiskiem Maurycy (Unio) Prawicki. Był w moim wieku. W 1940 r. zachorował na gruźlicę kości w kolanie. Wskutek całkowitego braku leków choroba rozpowszechniła się na płuca i po 2-letniej chorobie chory musiał umrzeć. Był zdolnym, inteligentnym chłopcem. Szkoda go. Takich chorych umierało wtedy dużo, z powodu całkowitego braku możliwości leczenia.

Niemcy zarządzili, by w każdym domu na drzwiach wejściowych od wewnątrz była umieszczona stała lista mieszkańców tego domu. Miało to na celu zapobieżenie nocowania obcych w tym domu, jak również by domownicy nocowali we własnym domu. To drugie było istotne zwłaszcza pod koniec okupacji, gdy zaczęła działać partyzantka. Następnym utrudnieniem przez cały czas okupacji była „godzina policyjna”. Było to zarządze-

nie okupanta, by między godziną 21 a 5 rano nikt nie przebywał poza domem. W Urzędowie nie było to ściśle przestrzegane, gdyż Urzędów jest za mały, za szczupły na garnizon żandarmerii i policji by to zarządzenie egzekwować.

Chciałem też opisać problem partyzantki w Urzędowie. Z chwilą zajęcia tych terenów przez Niemców całe życie polityczne przycichło, choć tkwiło utajone. W największej tajemnicy powstawały załączki pierwszych organizacji niepodległościowych. Niemcy wydali rozporządzenie, by oficerowie polscy zgłosili się do Niemców. Oczywiście oficerowie się nie zgłaszali (Niemcy by ich wysłali do obozów dla oficerów, tzw. oflagów), zaczęli się ukrywać. Nie było to wtedy łatwe, gdyż partyzantki jeszcze nie działały. Wykorzystywały to wszystkie męty społeczne. Broni, umundurowania było w bród. Potworzyły się bandy rabunkowe, które pod pretekstem walki o wolność w polskich mundurach z orzelkiem na rogatywce i opaską biało-czerwoną na rękawie bez mrugnienia okiem zabierały chłopom po wsiach wszystko, z ubrankami dziecięcymi włącznie. W samym Urzędowie nie miało to miejsca, ale w okolicznych wsiach słyszało się o wielu takich przypadkach. Trwało to ok. 2 lata, do czasu aż powstała prawdziwa partyzantka, którą w stronach Urzędowa była Armia Krajowa. Gdy AK okrzepła, doszła do pewnej siły – bezapelacyjnie i bezpardonowo ludzi w polskich mundurach złapanych na kradzieży mienia u chłopów rozstrzeliwano bez sądu. W krótkim czasie uporano się z tym problemem całkowicie. Jak bandy niespodziewanie zaczęły swoją działalność, tak i niespodziewanie znikły. Bo już była realna siła, która potrafiła ująć się za krzywdzonymi ludźmi. A Niemców to nie obchodziło. Nie leżało w ich interesie bić się z tymi bandami, zwalczać je.

W terminie nieco późniejszym, podczas eksterminacji Żydów zdarzały się w rejonie Urzędowa uzbrojone grupy Żydów, które nocą dobijały się do chłopskich zagród, prosząc o pożywienie. Nie były one liczne i występowały sporadycznie. Pamiętam z tego okresu taki kawał: Stoi Żyd z kijem imitującym karabin pod drzwiami gospodarza i krzyczy: „Gospodarzu otwórzcie!”. Odpowiada cisza – wtedy pada rozkaz: „Icek – seria!”. Icek biegnie wzdłuż płotu i kijem uderza o sztachety, co miało imitować serię z ckm-u i przestraszem zmusić chłopą do otwarcia drzwi chaty.

Ostatnimi wreszcie, którzy musieli ukrywać się w lasach i tworzyć oddziały zbrojne, byli w późniejszym czasie, już po inwazji Niemców na ZSRR, Rosjanie i inne narodowości ZSRR. Komu udało się zbiec z niewoli lub transportu, ten usiłował gromadzić się w lasach, zbroić się i iść na wschód, do swojej ojczyzny. Z nimi łączyli się nieliczni w okolicy Urzędowa partyzanci komunistyczni, z AL i GL. W związku z działalnością partyzantów radzieckich krążyła wieść, że partyzanci często nocą stukali do chat po wsiach mówiąc: „Pan, otwiery. Ne bojsa. Daj kusok chleba”. Z tym chlebem różnie bywało, często chłop go i sam nie miał. Ale to były takie czasy, że gdyby takiego „sowietę”, jak wówczas mówiono, złapali Niemcy, a on powiedział kto mu dał kawałek chleba – to dającego czekał taki sam los jak uciekiniera. To znaczy śmierć. Tu prawo niemieckie było bardzo okrutne.

Wiosną 1941 r. poszedłem „do terminu”, czyli do nauczania się zawodu kowala u Jana Steca przy obecnej ulicy Partyzantów obok Wałów Obronnych. Przepracowałem tam 1 miesiąc, nic innego nie robiąc, tylko dmąc w miechy i tłukąc koks. A były to ciekawe czasy. Wtedy to w rejonie Urzędowa rozpoczęło się wielkie zgrupowanie wojska niemieckiego. Oczywiście nikt nie wiedział jakie są rozmiary i cel tego zgrupowania. Ale mogę stwierdzić jedno: w każdym większym lasku, w każdym wąwozie, w każdej większej grupie drzew przebywało wojsko niemieckie. Pobudowali sobie baraki i w nich mieszkali. Mieli dużo sprzętu mechanicznego, który ma zawsze tendencję do psucia się. Dlatego w kuźni Steca pełno zawsze było żołnierzy niemieckich remontujących swoje pojazdy. Pamiętam, był wśród nich żołnierz mówiący po czesku. Z nim można się było dogadać. Żołnierze ci byli na ogół grzeczni, przystępni, a nawet usiłowali pomagać ludności cywilnej. Mnie w owym czasie zrobił się na palcu tzw. zastrzał. Nosiłem palec jak lalkę obandażowany, kciukiem do góry. Cierpiałem bardzo. Zobaczył to jeden z żołnierzy niemieckich, dość nędznej postury. Kazał mi na migi palec odwinąć. Gdy go zobaczył, usiadł przed kuźnią na kamieniu. Mnie posadził obok na ziemi, ale tak, że rękę z bolącym palcem trzymał między swoimi kolanami. Wyjął szczyryk i przeciął bolący palec! Potem zaczął go wyciskać. Cisnął bardzo mocno. Z palca wychodziło trochę ropy, ale więcej krwi. Bolało mnie to bardzo i krzyczałem wniebogłosy. W końcu z poly płaszcza wypruł bandaż osobisty. Żółtym proszkiem posypał ranę, palec obandażował i wygonił do kuźni do pracy. To musiał być sanitariusz, może felczer. Palec pomału zaczął mi się goić.

W tym też czasie rozeszła się po okolicy trwoźna wieść, że Niemcy na terenie fabrycznym otaczają drutami kolczastymi halę nr 1 i halę nr 2, tworząc obóz. Dla kogo? Każdy przeczuwał, każdy bał się, że to może być dla niego. Nie myślałem wówczas, że i ja będę w nim krótko siedział.

W tym również okresie Urzędów musiał zapłacić Niemcom poważną sumę pieniędzy, jako karę, tzw. kontrybucję. Za co był Urzędów nią ukarany, jaką stanowiła kwotę, po ile to wypadło na poszczególne gospodarstwo, tego już nie pamiętam.

Teren osiedla fabrycznego, jak już pisałem, to było wtedy kilka bloków wykończonych, w których mieszkali folksdojczy z Jugosławii oraz kilkanaście bloków w stanie surowym. Wokoło rosła trawa po pas wysoka. W niedzielę często pędziłem krowy na teren osiedla, na tę trawę. Popędziłem raz krowy z kolegą nazwiskiem Płatek Zbigniew. Padał deszcz, schroniłem się pod dach szopy w krzakach, czytałem książkę. Szparą zaglądałem do środka z ciekawości, co się znajduje wewnątrz. Nagle z tej szopy wybiegło kilku chłopów w wieku do 12 lat i patrząc na mnie wielkimi oczami, pobiegli do bloków. Nie zwracałem na nich uwagi. Ani się spostrzegłem jak przybiegło do mnie kilku starych dziadków z pistoletami w rękę i w jednej chwili wyrwali mi bat z ręki i zaczęli mnie nim bić, aż go na mnie połamali. Potem pobitego, pokrwawionego zawlekli do bloku do piwnicy, gdzie przesiedziałem pół dnia. To samo zrobili ze Zbigniewem Płatką. Przy rewizji znaleźli przy mnie kozik pastusi

tzw. cyganek, przy którym narobili wiele wrzasku – jaką to broń noszę. Wieczorem zaprowadzili nas na rozprawę sądową. W dużej sali z portretem Hitlera siedziało trzech Niemców w mundurach z opaskami ze swastyką na rękawie. Były i te dzieci, które rzekomo widziały jak usiłowałem włamać się do komórki, celem ukradzenia królików. Ale nie od razu dowiedziałem się o co zostałem posadzony. Dopiero później, już po wypuszczeniu dowiedziałem się, że raz już im te króliki skradziono i oni byli pewni, że to ja zrobiłem i przyszedłem ponownie je ukraść. Mało tego, dzieci przyniosły deskę, którą rzekomo wyważyłem drzwi komórki. A to było nieprawdą.

Nie wiem, jaki był werdykt sędziowski, bo mi go nie ogłoszono. Tłumaczem w sądzie był niejaki Maliszewski, wuj Płatka, i on go wybronił, że go wypuścili. A mnie dwóch Niemców popędziło przez osiedle, potem lasem na teren fabryki. Gdy zbliżyliśmy się do lasu, obaj Niemcy chwycili mnie z dwóch stron za rękawy i tak prowadzili, żebym im nie uciekł. W owym czasie i na terenie fabryki i osiedla co chwila odzywały się strzały z karabinów, pistoletów, nieraz całe serie. I prowadzący mnie Niemcy – choć słów nie rozumiałem – wiedziałem, że grożąc mi palcem i wskazując owe strzały dawali mi do zrozumienia, że gdy będę uciekał to mnie zabiją. Ja machnąłem ręką, mówiąc: „Ganz egal” (wszystko jedno). Chciałem wyrzucić książkę, którą niosłem, ale Niemcy kazali mi ją nieść ze sobą. Przez teren fabryki zaprowadzili mnie do hali nr 2. Zobaczyłem wtedy halę nr 1 i halę nr 2. Otoczone silnym płotem z drutów kolczastych – obie wypełnione były mężczyznami w średnim wieku, Polakami. Mnie Niemiec postawił z dala od tych ludzi, pod murem i dał do zrozumienia, żebym się stąd nie ruszał. Byłem tam kilka dni. Podszedł do mnie żołnierz niemiecki, Ślązak, i pyta: „Za co cię wzięli?”. Mówię mu za co. „Pamiętaj – mówi – tylko mów prawdę, bo zginiesz”. Przyniósł mi kilka desek, już nie leżałem na betonie. Przyniósł też zupy kartoflanki ze zgniłych produktów. Stojąc tak kilka dni pod tym murem przyglądałem się ludziom zamkniętym w obozie. Byłem od nich w pewnej odległości i nie mogłem się z nimi kontaktować. Widziałem, dostawali 2 razy na dzień jakąś zupę, spali pokotem na betonie. Cały róg hali zajmowali Cyganie. Dzieci, kobiety i starcy – wszyscy razem. Tam najwięcej było krzyku, rejdachu. W czterech rogach hali na wysokich podestach stały karabiny maszynowe wymierzone w tłum ludzi i reflektory. Wartę przy nich w dzień i w nocy pełniło po dwóch żołnierzy.

Po kilku dniach podszedł do mnie żandarm i kazał iść za sobą. Po jego minie – myślałem, że mnie prowadzi na rozstrzał, tymczasem przyprowadził mnie do bramy wyjściowej na wartownię. Tu kazano mi usiąść na krześle. Jeden z żandarmów z uśmiechem na twarzy podszedł do mnie od tyłu i złapał mnie za krtań, że nie mogłem wydobyć głosu. Drugą ręką trzymał mi ręce do tyłu. Drugi żandarm drążkiem z drzewa sosnowego zaczął mnie bić po kolanach. Nie wiem ile dostałem uderzeń, nie liczyłem ich, ale z bólu zabrudziłem spodnie. Zerwałem się z krzesła, a oni zaczęli mnie bić po plecach. Pytali mnie, kto w Urzędowie należy do organizacji, kto ma broń. Odpowiadałem, że nie wiem, za co dostawałem dodatkowe bicie. Potem bić przestali i krzyczą: „Raus!”. Ja pytam:

„Aber wo?”. Wskazali bramę. Kuśtykając, powlokłem się w kierunku bramy wyjściowej. Tu widzę tłum kobiet. Kulejąc, wlokę się w kierunku krzaków, żeby się oczyścić. Za mną biegnie kilka kobiet, a ja ze strachem mówię, by szła tylko jedna, żeby żandarmi nie widzieli. Gdyśmy zeszli z oczu żandarmom, mówię tym kobietom: „Nie podawajcie im paczek żywnościowych, bo wszystko zjadają żandarmi. Wasi ojcowie, mężowie czy bracia tego nie widzą. Poślijcie im tylko sam chleb to go dostaną”. Dalej pytam – skąd są ci ludzie? Z okolicznych wiosek znad Wisły – odpowiada mi ta kobieta. Potem pokuśtykałem w kierunku szosy, gdzie przygodna furmanka zabrała mnie do Urzędowa do domu. Jak się potem dowiedziałem, Niemcy część tych ludzi rozpuścili do domów, część wysłali do Niemiec na roboty, a część wysłali do obozu zagłady na Majdanku w Lublinie. Cyganów wszystkich wywieźli na Majdanek i zabili.

Byłem też świadkiem następującej sceny w Kraśniku: idę ulicą Kościuszki za kościołem – a z podwórza budynku gestapo wybiega jakiś człowiek w wieku około 30 lat. Boso, tylko w spodniach i koszuli – i bardzo szybko ucieka chodnikiem w kierunku kościoła. Przed wąwozem (teraz są tam schody) skręca w lukę między płotami ogrodzenia sadu. Za nim w pewnej odległości biegnie dwóch młodych cywilów (gestapowcy) i krzyczy: „Stój! Stój, bo cię trzasnę!”. To był moment. Za chwilę i oni wpadli w lukę między płotami. Rozległy się dwa strzały. Niedługo powoli wracali ci dwaj cywile, chowając pistolety. Podobno ten zabity mieszkał na osiedlu fabrycznym (stało tam wtedy kilka baraków przy skrzyżowaniu szos). Aresztowanemu przy przesłuchaniu i biciu udało się wyrwać z gestapo, ale niestety wpadł w takie opłotki, skąd nie mógł dalej uciekać. To go zgubiło. Cywile – to byli żandarmi mówiący po polsku.

Jeśli mowa o kraśnickim gestapo, przytoczę następujące zdarzenie: Było to w 1942 r. Pracowała tam w charakterze kucharki niejaka Jadwiga Wośko z domu Dzikowska z Urzędowa. Dobrze jej się tam powodziło, dobrze wyglądała. Nieraz widziałem jak bryczką jechała z żandarmami na przechadzkę. Pewnego razu też tak wyjechała z nimi na spacer w kierunku Urzędowa. Dojechali do lasu. Tam na jego skraju żandarmi ją zastrzelili i zakopali w rowie przydrożnym. Dopiero po wyzwoleniu jej cząstki ekshumowano i przewieziono na cmentarz w Urzędowie. Za co zginęła? Otóż żandarmi w piwnicach trzymali aresztowanych Polaków. Gdy żandarmów w pobliżu nie było, a pokazała się Wośkowa – aresztowani bardzo prosili by ich puściła. Ta litując się nad nimi – kogoś wypuściła. Zapłaciła za to własnym życiem.

Tymczasem w rejonie Urzędowa wojska niemieckiego przybywało coraz więcej. Wracali z podboju Grecji. Opaleni, pewni siebie. Jako maskotki wozili w tych samochodach w specjalnych schowkach żółwie greckie. Żołnierze pozwalali, a ja z ciekawością młodego chłopaka oglądałem je, żywiłem. Pamiętam, jadły zielone jabłka. Na terenie Kraśnika Fabrycznego widziałem ogromne ilości wojska i sprzętu wojskowego. Wielką ilość taborów, pojazdów konnych, a przy nich ze zdumieniem zobaczyłem ludzi ubranych w mundury niemieckie a mówiących po polsku. Byli to chłopcy z okolicznych wsi zwerbowani



Zdejbowanie dzwonów w Urzędowie

przez Niemców „w podwoły”. Nikt nie wiedział na co się zanosi – aż nagle w nocy z 21 na 22 czerwca całe wojsko znikło z okolicy. Jakby ich wymiotło. A my dowiedzieliśmy się, że Niemcy uderzyły na ZSRR. Pamiętam, była niedziela. Byłem jeszcze ministrantem, służyłem do mszy św. w kościele. Stoimy rzędem przed księdzem w zakrystii, a organista p. Barwa ubiera księdza w szaty liturgiczne. A ksiądz Łazicki do p. Barwy mówi: „To co? Złapały się dwa psy!”.

Tymczasem rozpoczęły się straszliwe zmagania dwóch potęg. Było to daleko od Urzędowa i na jego losy nie miało bezpośredniego wpływu. Ale pośrednio i na Urzędów oddziaływało.

Z Urzędowa również było kilku chłopów „w podwodach” na froncie wschodnim. Razem z wojskiem niemieckim podeszli pod Moskwę. Większość z nich po przeszło rocz-

nej nieobecności, pozostawiwszy w końcu wóz i konie – cali i zdrowi wrócili do Urzędowa. Opowiadał mi jeden z nich, niejaki Dzikowski z przedm. Zakościelnego, że jak jechał z wojskiem niemieckim przez zniszczone przez wojnę wsie i miasta rosyjskie, przez pobojowiska pełne trupów i leżącej wokoło broni, Niemcy zachęcali, żeby sobie wybrać jakąś broń osobistą. Ja udawałem, że boję się wziąć ją do ręki, mówił Dzikowski. Niemcy nazywali mnie głupim Polakiem. Razem z Dzikowskim był tam niejaki Kijek ze wsi Skorczyce. Ten według opowiadań tegoż Dzikowskiego od początku interesował się bronią. Przymierzał się do niej, próbował strzelać. Żołnierzom niemieckim bardzo się podobało i laskawie pozwolili mu żeby broń zawsze miał przy sobie, żeby ją nosił. Ale – skoro ma broń – to niech założy pas wojskowy i obrazek, tzw. gapę niemiecką, na furmankę czy czapkę. A skoro ma już broń, pas i orzelka – to jest pełnoprawnym żołnierzem niemieckim, którego obowiązują już całkiem inne rygory wojskowe niż wozaka z biczem. Po wielu perypetiach Dzikowski pozostawiwszy tam wóz i konie wrócił cały i zdrow do Urzędowa. Po pewnym czasie przyjechał i Kijek do rodzinnych Skorczyc na urlop wypoczynkowy z dużym zasobem pieniędzy. Dwa tygodnie odpoczywał, pił, rozbijał się – i pojechał z powrotem na front wschodni. Na tym się kończy opowiadanie o Kijku. Wszelki ślad po nim zaginął.

Latem 1942 lub 1943 r. wyszło zarządzenie niemieckie na cały tzw. Generalgouvernement – Generalną Gubernię, by księża oddali władzom niemieckim wszystkie dzwony, z wyjątkiem dzwonów starych, zabytkowych. W innych parafiach zdarzało się, że księża chowali je, nie oddając ich Niemcom. W Urzędowie niestety ks. Jan Łazicki kazał dzwony zdjąć i oddać Niemcom. Dzwony zdjęto i na wozach chłopskich pojechały na punkt zborny na stację kolejową Kraśnik. Były to dwa dzwony. Jeden duży, piękny o głębokim tonie imieniem Adam. Drugi mniejszy o głosie wysokim, dźwięcznym – o imieniu Jan. W Urzędowie pozostała jedynie sygnaturka, niewielki dzwonek o imieniu Barbara. Brąz z dzwonów był Niemcom potrzebny do produkcji uzbrojenia.

W tym też czasie Niemcy postrzelili jakiegoś urzędowskiego Żyda. Lekarza w Urzędowie wtedy nie było. Funkcję lekarza pełnił felczer Karol Dzikowski z przedmieścia Mikuszewskiego. Ranny Żyd udał się po pomoc do felczera. Ten udzielił mu tej pomocy. Gdy Niemcy dowiedzieli się o tym – żandarmi pojechali do domu felczera Dzikowskiego i zastrzelili go.

Martyrologię urzędowskich Żydów opisałem osobno w pracy *Żydzi urzędowscy – wspomnienia o sąsiedztwie i zagładzie* („Głos Ziemi Urzędowskiej” 2012, s. 24–36) i tu nie będę tego powtarzał.

Jesienią 1942 r. został aresztowany i osadzony w obozie zagłady w Oświęcimiu mój sąsiad nazwiskiem Andrzej Płatek. Przyszło do niego dwóch cywilów, zabrali go – i wszelki ślad po nim zaginął. Po upływie 1 roku jego rodzina dostała zawiadomienie, że Andrzej Płatek nie żyje. Pozostała żona i kilkoro drobnych dzieci (jedno przyszło na świat już po śmierci ojca). Wszyscy pozostali bez środków do życia. Po wojnie najstarszy syn Zbigniew otrzymał z Muzeum w Oświęcimiu zdjęcie ojca, a tak-

że wiadomość, w jakich okolicznościach zginął. Otóż w rocznicę urodzin Hitlera urządzono w obozie czystkę. Co dziesiąty więzień musiał wystąpić z szeregu i iść na rozstrzelanie. Trafilo to na Andrzeja Płatka i musiał zginąć. Był to dobry fachowiec, metalowiec rodem z Pomorza. Wartościowy człowiek.

W roku 1943 Niemcy z osiedla fabrycznego przywieźli do wąwozu Wodończa Polaka o nieustalonym imieniu i nazwisku. Tu w pobliżu pola Kiebasińskich jest piękny nastrojowy zakątek, w którym rosła malownicza brzoźka. Tam Niemcy tego Polaka zastrzelili i pod tą brzoźką pogrzebali. Od kul został też okaleczony pień brzozy. Mogiłę ozdabiała potem polnymi kwiatami dzieci pasące tam krowy. Po wyzwoleniu jego szczątki zostały ekshumowane i pogrzebane na jednym z cmentarzy grzebalnych w okolicy. W tej chwili i brzoźki tam już nie ma. Ktoś ją wyciął.

12 września 1943 r. – była to niedziela rano – pasłem krowy na polu w pobliżu kapliczki św. Elżbiety. Około godziny 10 zobaczyłem kilka samochodów ciężarowych wypełnionych cywilnymi Niemcami jadących szosą w kierunku Urzędowa. Po upływie około pół godziny od strony wsi Skorczyce słychać było odgłosy licznych wystrzałów, widziałem dym z palącej się wsi. W domu dowiedziałem się o przebiegu wypadków. Codziennie rano furmanką z osiedla fabrycznego przyjeżdżał do mleczarni w Urzędowie Niemiec po mleko, masło. Miał on do pomocy Żyda. Zdarzyło się, że w wąwozie Wodończa na powracających z mleczarni Niemca i Żyda zaczął się jakiś nieznany partyzant. Niemca zabił, Żyda postrzelił. Niemieccy folksdojczycy z Jugosławii mieszkający w osiedlu fabrycznym w odwet za ten czyn kilkoma samochodami jechali szukać bandytów i zlikwidować ich. Przyjechali do Urzędowa na rynek, do księdza Łazickiego, pytając o „bandytów”. Ktoś im wskazał kierunek na Zakościelne. Minęli Zakościelne i we wsi Skorczyce rozpoczęli łapanie mężczyzn. Jak już pisałem, była to niedziela rano. W obrębie wsi mężczyzn było mało, bo albo paśli krowy lub konie na polach, albo poszli do kościoła. Niemcy, chcąc zebrać więcej mężczyzn, podpaliли dwa budynki gospodarcze. Zbiegli się chłopci, by ratować zagrody przed ogniem, a Niemcy ich chwyтали. Wszystkich ich w liczbie 18 osób zgromadzili w środku wsi przy łąkach i zastrzelili. Byli to ludzie ze wsi Skorczyce, kilku z Urzędowa przedm. Góry, ze wsi Wierzbica, a nawet z Lublina niejaki Rosiecki, brat mojego kolegi z Urzędowa. Tenże Rosiecki wysiadł z pociągu na stacji Wilkołaz i pieszo szedł do Urzędowa do rodziny. W Skorczycach Niemcy go dopadli i zastrzelili.

Dziś w miejscu egzekucji stoi murowana kapliczka ze zdjęciami pomordowanych i opisem tragedii. Wydarzenie to wywołało w okolicy Urzędowa wielkie, przygnębiające wrażenie.

Już w 1942 r. Niemcy na terenie kraśnickiej fabryki zorganizowali tzw. Baudienst, dla polskich junaków, budowlane brygady robotnicze do różnych prac na terenie fabryki. Służba w nich była przymusowa. Dowódcą był Niemiec. Do pomocy miał kilku Ukraińców. Junacy chodzili w jednakowych granatowych drelichowych ubraniach. Wyżywienie tam było podle, praca ciężka, traktowanie złe. Służył w nich m.in. mój wujeczny brat,

Tadeusz Siekaczyński, mieszkający przy ówczesnej ulicy 3-go Maja. Co kilka dni przedzierał się on przez druty ogrodzenia fabryki i wpadał do domu. Tu zjadł, dostał skromną żywność i tą samą drogą wracał do fabryki. Służył tam ok. 1 roku. Junacy niezbyt gorliwie pracowali na rzecz Niemców. Często stosowali sabotaż produkcyjny w swojej pracy. Przy budowie hali spowodowali zawalenie się jej. Dr Hevelke i dr Ściegienny pomagali tej młodzieży, udzielając im dużo zwolnień lekarskich. Pod koniec okupacji panowanie niemieckie słabło, jego siła zaczęła się zmniejszać. Niemcy dostawali lanie na wszystkich frontach i już nie mieli siły utrzymywać w ryzach podbitych narodów. Kilka razy obóz junaków był atakowany przez partyzantów, w końcu jednej nocy, już chyba na początku 1944 r., na umówiony sygnał wszyscy junacy rozpierzchli się do domów. Kuzyn Siekaczyński „ukrywał się” do wyzwolenia w partyzantce.

Ja również 3.12.1943 r. otrzymałem wezwanie do odbycia służby w „Baudienst” w Puławach (przechowuję je do dzisiaj). Miałem się tam stawić 1.04.1944 r., ale to już był czas, gdy Niemcy nie myśleli o junakach – a o tym, jak nadażyć uciekać. Niemcy nie zdążyli mnie powołać do darmowej pracy. Wcześniej przysłała wolność, a dla mnie osobiście ciężka niewola. Ale to tylko taka mała dygresja.

Chciałem tu poruszyć problem polskiego szkolnictwa podczas okupacji. Na terenach włączonych do Rzeszy nie było żadnych polskich szkół. Na terenie Generalnej Guberni, Generalgovernment, były 7-letnie szkoły powszechne, z tym, że takie przedmioty jak historia polski, geografia były zakazane. Używanie podręczników przedwojennych było zabronione, dzieci uczyły się z zeszytów wydawanych przez Niemców o nazwie „Ster”. Podobno w Lublinie funkcjonowała jedna Szkoła Handlowa, uczęszczał wówczas do niej jeden z moich kolegów z dzieciństwa, obecnie lekarz w Elblągu W. Rolla. W najbliższej okolicy Urzędowa istniało tajne nauczanie szczebla średniego w Kraśniku. Wiele moich koleżanek i kolegów z dzieciństwa uczyło się na to nauczanie. Po wyzwoleniu kontynuowali naukę nadal. Dziś są lekarzami, prawnikami, inżynierami.

Opiszę jeszcze wypadek zniszczenia dzieł sztuki dworskiej (malarstwo), jaki miał miejsce podczas okupacji w okolicy Urzędowa. W jednym z dworów dziedzic posiadał piękną kolekcję starych portretów swoich przodków. Ponieważ były to czasy okupacji niemieckiej – dziedzic ów bał się, że Niemcy mogą mu te obrazy zabrać, albo że jego wypędzą z dworu, a obrazy zostaną na pastwę losu. Postanowił je zabezpieczyć. Wybrał chłopca najgłępszego w okolicy i jemu dał na przechowanie te obrazy sądząc, że skoro głupi to bezpieczniej je przechowa. Ulokowane na strychu w plewach miały bezpiecznie przetrwać wojnę. Ale chłop, w którego te obrazy były na przechowaniu, był najgłępszy w okolicy. Zdarzyło się, że na furmance przyjechało do wsi trzech Niemców do miejscowej mleczarni. Po co przyjechali – nieważne. Chłop, gdy ich zobaczył, tak się zląkł, że przez całą noc z żoną obrazy te łamali na kawałki i palili w piecu. Gdy świt zawitał do okna, ostatni kawałek obrazu chłop wrzucił do pieca – i przestał się bać. Piękna galeria obrazów starych przodków miejscowego dziedzica poszła z dymem.

Podczas wojny i w ten sposób niszczały dzieła sztuki. Wiadomość powyższą uzyskałem przed wielu laty od wielkiego miłośnika dzieł sztuki ludowej, nieżyjącego już regionalisty ze wsi Wyżnianka k. Kraśnika p. Jana Stelmaszczyka.

Pod koniec 1942 i w 1943 r. po klęsce stalingradzkiej już widać było załamywanie się potęgi niemieckiej. Niemcy byli mniej butni, mniej pewni siebie. Z Urzędowa zostali zabrani żandarmi, pozostała tylko policja polska. To samo było w okolicznych miasteczkach. Niemcom już nie starczało ludzi. Większy garnizon niemiecki pozostał jedynie w Kraśniku „starym”. Osławieni folksdojczy z osiedla fabrycznego też nie czekali długo. Pod koniec 1943 r. wyjechali. Tylko ciekawe dokąd? Do rodzinnej Jugosławii nie mogli, bo tam też było gorąco. Na to wszystko tylko czekali umęczeni okupacją Polacy. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać najrozmaitsze ugrupowania zbrojne różnych odcieni i kierunków politycznych. Młodzież masowo wstępowała do organizacji zbrojnych. Nawet synowie burmistrza Łasińskiego, wygnańca z Poznańskiego, też wstąpili do partyzantki. A ich ojciec zginął z rąk partyzantów „za wierną służbę okupantom”.

Niżej podpisany nie ma rozeznania co do ilości, jakości i liczebności poszczególnych ugrupowań. Dane te niech podadzą inni, wiedzący więcej na ten temat. Ja tylko chcę ogólnie na podstawie własnych obserwacji stwierdzić, że Urzędów i jego okolice stopniowo przybierały charakter garnizonu wojskowego. Działy: początkowo Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) przekształcony później w Armie Krajową (AK). Tych było najwięcej. Dalej były Bataliony Chłopskie (BCh), tych było mniej od AK. Były Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) w niewielkiej stosunkowo ilości. To wszystko były ugrupowania prawicowe, antykomunistyczne.

Partyzantka przybierała różnorodne formy. Były oddziały tzw. lotne, to znaczy oddziały stacjonujące w lesie lub w odległych wsiach. Te miały za zadanie walkę z wrogiem. Były oddziały, które zbierały się dla doraźnych celów. Po wykonaniu zadania młodzież rozchodziła się do domów i spokojnie (w miarę) pracowała na polu ojca. Ale też trzeba przyznać, że pijaństwo wśród niektórych oddziałów lotnych panowało wielkie. Wojna ludzi deprawuje.

W swojej biblioteczce domowej mam broszurkę *Z dziejów PPR, GL i AL w pow. kraśnickim 1942–1944 r.*, autorstwa Jerzego Zbigniewa Hirsza. Z książeczki tej ze zdumieniem dowiaduję się, że w Urzędowie było równo 100 gwardzistów! A ja z całą odpowiedzialnością twierdzę, że było ok. 7 ludzi i mieli 1 karabin. Dalej, z tej książeczki dowiaduje się, że najbliższa Urzędowa okolica usiana była partyzantką AL i GL (Armia Ludowa i Gwardia Ludowa) i to w okrągłych cyfrach: 100, 130, 50 osób itd. W jednym Trzydniku podano, że tam było 236 osób. W to mogę uwierzyć, jako że tę wieś podczas okupacji nazywaliśmy Moskwą. Wszystko inne – to bujda. Dalej wiele akcji partyzanckich, które wykonała AK przypisuje się w tej książeczce AL i GL. Tak się fałszuje historię.

A na skutek działalności tych ugrupowań nie trzeba było długo czekać. Przez całą okupację były wyznaczone tzw. warty nocne. Kolejno z każdej gromady byli wy-

znaczni mężczyźni. Zadaniem tej warty było: mieć oczy i uszy otwarte na wszystko, co się wokoło dzieje. Gdy taki wartownik coś zauważył – należało natychmiast meldować na posterunku policji. Pamiętam, było to latem 1943 r., byłem raz na takiej warcie i w nocy miałem się zgłosić na posterunek policji. Stukam do drzwi – pytają: „Kto to?”. Powiedziałem nazwisko (mieszkałem niedaleko, znali mnie). „Podejdz pod okno, niech cię zobaczymy” – pada odpowiedź. Gdy mnie w oknie zobaczyli – pozwolili wejść. Wchodzę – a wszyscy policjanci mają broń w rękę, a policjant otwierający mi drzwi sam stał za załomem muru, a jedynie rękę wystawił celem odryglowania drzwi. Posterunek był dokładnie zabarykadowany, w oknach siatki przeciw granatom. Wtedy dopiero zobaczyłem, że oni sami siedzieli na posterunku jak na wulkanie.

Innym razem pełniłem taką wartę z jeszcze jednym mieszkańcem, gdy do miasta weszli partyzanci. Położyli nas na ziemi w rejonie ulic Kościuszki i bezimiennej uliczki koło domu Wojtysiaka. Obok nas stał rkm ustawiony lufą w kierunku rynku z obsługą 4 partyzantów. Rozmawialiśmy z nimi, śmiali się. Była to obstawa. Wokoło rynku było kilka takich posterunków. A przy rynku w budynku Gminy grupa partyzantów demolowała urzędnika Gminy. Inna grupa niszczyła urzędnika mleczarni. Potem, stopniowo akcje takie powtarzały się coraz częściej. 19.06.1943 r. budzimy się rano – słyszymy znowu była akcja. Wybiegłem na rynek i widzę: przed budynkiem Gminy dopala się stos papierów, dokumentów. Obok leży zabita kobieta nazwiskiem Leokadia Majewska z ul. Kościuszki. Na niej leży pasek papieru, maszynopis o następującej treści: „Za wierną służbę okupantom. Kto wejdzie na tę drogę – każdego to czeka”. W swoim mieszkaniu leży zabity burmistrz Łasiński, wyganiec, z podobną kartką. Koleczykarz – urzędnik, który koleczykował tuczniaki i rogaciznę – pobity. Na przedmieściu Mikuszewskim soltys Jagiełło zabity za gorliwość wobec Niemców.

Przy ul. Wodnej w domu Tadeusza Cieślickiego została zabita jego żona i córka niejakiego Dorosza, pracownika Gminy, podejrzanego o współpracę z Niemcami. Sam Dorosz ukrywał się i ocalał. Po śmierci żony i córki wyjechał z Urzędowa w nieznanym kierunku.

Pamiętam, po tej akcji niedopalone papiery, dokumenty roznosił wiatr po całym rynku i przyległych uliczkach. Zdarzyło się, że pewna starsza niewiasta, idąc uliczką, podniosła jakiś papier. Gdy go przeczytała okazało się, że to była jej metryka urodzenia pisana jeszcze po rosyjsku.

Jaki oddział wykonał tę akcję – nie wiem. I trzeba zaznaczyć, że to, co się działo w Urzędowie – działo się we wszystkich miejscowościach Lubelszczyzny. A Niemcy już byli bezsilni. Dostawali ciągi na wszystkich frontach, a front wschodni zbliżał się do Urzędowa coraz bardziej. W Urzędowie się to nie zdarzyło, ale słyszałem, że w okolicy Urzędowa były wypadki, że samego koleczykarza partyzanci koleczykowali.

W roku 1943 został zabity przez nieznaną grupę ludzi Władysław Chęciński – właściciel młyna w swoim domu na Bęczynie.

W Zielone Świątki w 1944 r. byłem przy kapliczce św. Otylii, by przemyć oczy, jak każe tradycja. W tłumie

ludzi widziało się partyzantów w mundurach, młodych chłopaków jak jawnie w biały dzień spacerowali ze swymi dziewczynami. Byli to przeważnie chłopcy z Bęczyna. Bo musimy wiedzieć, że ludność przedmieścia Bęczyna była bardzo patriotyczna i bojowa.

Innym razem, też latem, tuż przed wyzwoleniem w 1944 r. nocą partyzanci urządzali uroczysty pogrzeb partyzanta pochodzącego spoza Urzędowa. Zginął on w walce z Niemcami. Pamiętam te tłumy ludności na cmentarzu, ten nastrój uroczysty, te przemówienia. Niebo było pochmurne, niskie, po którym latały samoloty niemieckie wypatrujące partyzantów. Ale pogrzeb odbywał się bez świateł i Niemcy nie widzieli nic.

A w ogóle stwierdzić można, że róg cmentarza grzebalnego przy ul. Wodnej od strony Dzierzkowic – to miejsce wiecznego spoczynku całej masy ludzi, którzy zginęli podczas wojny śmiercią tragiczną. I wojskowych, i cywili. Dziś [1984 r.] jakże mało zachowało się mogił z tego okresu. Czas nieubłaganie niweluje wszystko.

A front zbliżał się do Urzędowa szybkimi krokami. Pamiętam, nocą wracaliśmy raz z akcji przez las Dzierzkowski. Od wschodu dochodził już do nas daleki huk dział. Wtedy ja mówię do kolegów: „Słuchajcie! Front się zbliża i wkrótce wejdą Rosjanie. A my jesteśmy partyzantką przeciwną im. Co będzie z nami?”. Koledzy milczeli, nie uzyskałem na to odpowiedzi. Wówczas dopowiedziałem sobie sam, na głos: „Chyba dowództwo nasze wie co robi i nie moją sprawą jest się martwić o to. Dowództwo dogada się ze sobą i będzie wszystko w porządku”.

Rzeczywistość okazała się jakże inna. Dowództwo nikogo nie ostrzegło, nikogo nie uprzedziło. Skutek był taki, że po wyzwoleniu wielu z nas gnilo po więzieniach, a 22 osoby zostały wywiezione do katorżniczych obozów jeńców wojennych w ZSRR. Większość z nich już nie żyje. Zmarli albo w niewoli, albo po powrocie – na gruźlicę.

A w Urzędowie podczas wyzwolenia były piękne akcje partyzanckie, jak walka z żandarmami w wąwozie Wodończa czy z Ukraińcami na przedmieściu Zakościelnym. Fakty te opisałem osobno i nie będę ich powtarzał. Az nareszcie przyszła wolność.

Armia Czerwona, pędząc Niemców 28.07.1944 r. zajęła Urzędów. Jej oddziały ani na chwilę nie zatrzymały się w miasteczku. Parły dalej na zachód, do Wisły, celem uchwycenia przyczółka po drugiej stronie Wisły, w Kieleckiem. W lesie Dzierzkowskim jej oddziały spotkały się z miejscowymi oddziałami Armii Krajowej, które z przesieki leśnej wyszły na drogę Urzędów–Dzierzkowice. Rosjanie na nasz widok krzyczeli: „A! Partyzany! Zdrastwujcie!”. I były powitania, pocałunki, uściski i poklepywania po plecach. Potem oddziały Armii Krajowej poszły w kierunku Urzędowa, żołnierze Armii Czerwonej udali się dalej na zachód, ku Wiśle.

Przed około 10 laty [w latach 70. XX w.], gdy jeszcze byłem względnie zdrowy, pojechałem do Annapola, rozmawiałem ze starszym człowiekiem mieszkającym obok mostu na Wiśle. Człowiek ten przez cały czas istnienia tam, widział wiele. Opowiadał mi, że Niemcy wysadzili most w powietrze, a żołnierze Armii Czerwonej w pierwszym rzucie z zaskoczenia sforsowali Wisłę i uchwycili przyczółek po jej drugiej stronie. Wisłę forsowali z mar-

szu, spontanicznie na różnych środkach przeprawy. Brano wrota od stodoły i na nich usiłowano przepłynąć rzekę, a nawet dwa lub trzy snopy zboża łączono razem i spuściwszy je na wodę żołnierze siadali nań okrakiem i usiłowali Wisłę przepłynąć. A Niemcy, po początkowym chaosie, strzelali do przepływających. Wszystko się topiło, woda w Wiśle była czerwona.

Ostatecznie żołnierze Armii Czerwonej w rejonie Annapola sforsowali Wisłę i uchwycili przyczółek po drugiej stronie Wisły w Kieleckiem. Miał on kilka kilometrów długości i ok. 2,5 km głębokości. Ale niestety nie opanowali okolicznych wzgórz zwanych przez ludzi miejscowych „górami” oddalonych ok. 3 km od brzegów Wisły. Na wzgórzach tych Niemcy ustawili gęsto artylerię i rozpoczęli ostrzeliwanie najpierw Wisły, żeby uniemożliwić dalszą przeprawę Rosjan. Potem ogień przenieśli na wiślany brzeg. Następnie zbliżając ogień coraz bliżej owych wzgórz, swoich stanowisk artyleryjskich – wygnietli Rosjan kompletnie. Na niedobitków ukrywających się po rowach wysłali czołgi, które ich ostatecznie wykończyły. Przyczółek w rejonie Annapola padł.

Potem, gdy na linii Wisły front utrzymał się ok. pół roku, na odcinku Annapola była kompletna cisza. Trwało sporadyczne ostrzeliwanie miasteczka i okolicy, ale nie było ono zbyt silne. A żołnierzy Armii Czerwonej w rejonie Annapola, na linii Wisły było bardzo mało. Demonstrowali oni jedynie swoją obecność. Miejsca decydujące o dalszym marszu na zachód – to przyczółki w Sandomierzu i Studziankach koło Warki. Ale to są już tereny dalekie od Urzędowa i nas tu nie interesują.

Opowiadał mi tenże chłop spod Annapola, że gdy ofensywa ruszyła dalej na zachód on z jeszcze innymi sąsiadami po lodzie przeszedł na drugą stronę Wisły. Najpierw z wysokiego brzegu po naszej stronie spuszczały belki, które spadając w dół zahaczały o miny i wysadzały je w powietrze. Wisłę przeszli i oczom ich przedstawił się straszny widok. Niemcy niedobitków żołnierzy rosyjskich, którzy ocalili od odstrzeliwania artyleryjskiego, gromadzili razem i granatami zabijali. Potem ściągnęli cywilnych mężczyzn – Polaków, z okolicy i tym nocą kazali najpierw zebrać broń z pobojowiska. Gdy broń została zebrana, Niemcy rozkazali im by zabitych żołnierzy rosyjskich leżących bliżej Wisły – wrzucili do wody. Makabryczny był to widok, opowiadał ten chłop – gdy dalej od Wisły widziało się całe gromady żołnierzy rosyjskich porwanych granatami, leżących w najróżniejszych pozach.

Dlaczego ja to włączyłem do wspomnień o Urzędowie podczas wojny? Ano dlatego, że ci żołnierze Armii Czerwonej, którzy tam na przyczółku pod Annapolem padli w nierównym boju, oni wyzwolili Urzędów. Oni witali się z nami, partyzantami w lesie Dzierzkowskim, całowali się z nami, poklepywali po plecach. Potem poszli dalej, do Wisły i tam tak marnie zginęli. Po Kraśniku usytuowanym przy głównym szlaku odwrotu wojsk niemieckich na linii Lublin–Annapol–Ozarów–Skażysko Urzędów był również na szlaku odwrotu wojsk niemieckich, które bocznymi drogami z Lublina przez Urzędów, Dzierzkowice, Książomierz zmierzały również do mostu na Wiśle w Annapolu.

A w Urzędowie propaganda rosyjska już robiła swoje. Na rogu ul. 3-go Maja i rynku, na ścianie starego domku będącego kiedyś własnością Żyda Furmana, a obecnie Wójcickiego, Rosjanie literami wielkości ok. 1 m umieścili następujący napis: „My prynieśli swobodę Polskomu narodu!”. W języku rosyjskim. Następnie na kilku budynkach stojących przy trasie przejazdu wojska żołnierz rosyjski – trzeba przyznać, dobry grafik – namalował czarną farbą duże rysunki artystyczne dotyczące aktualnej sytuacji Niemiec. Pamiętam, na ścianie budynku Spółdzielni od strony apteki namalowana była wieża z blankami. Na jej szczycie stał Hitler z charakterystycznym czubem. W jednej ręce trzymał pistolet, a drugą zasłaniał się. Cała owa wieża była porysowana, pękająca na poszczególne kawałki, na których były umieszczone napisy: Rumunia, Węgry, Bułgaria itp. Był to rysunek bardzo sugestywny, dosadnie oddający sytuację w Rzeszy w owym czasie. Mocno działający na wyobraźnię.

W innym miejscu, chyba na budynku Rolli, na wprost ul. Partyzantów narysowane były kleszcze, których poszczególne szczęki były oznaczone: jedna – czerwoną gwiazdą, druga emblematami państw koalicji antyhitlerowskiej. Kleszcze te trzymały Hitlera w uścisku. Takich rysunków było jeszcze kilka, ale co one przedstawiały – już nie pamiętam.

I choć w Urzędowie front nie zatrzymał się nawet na godzinę ani w 1939 r., ani w 1944 r. podczas ucieczki Niemców, nie było tu jakichś większych bitew, ta mała osada zagubiona w dolinie rzeki Urzędówki ucierpiała bardzo. Nie od zniszczeń, bo tych nie było – ale od strat w ludziach. Ludzie ginęli różnie: podczas walk na froncie, w niewoli, od kul plutonów egzekucyjnych, w komorach gazowych obozów zagłady, na robotach w Niemczech, podczas bombardowań, w partyzantce, w walkach bratobójczych wreszcie. Bo i takie były. Mogił tych ludzi nie ma na urzędowskim cmentarzu. Kości ich leżą rozrzucone po całej Polsce i Europie.

Mam kilku kolegów z dzieciństwa, obecnie notorycznych pijaków. Nawet pijakowi (nie pomnę, który to był) udało się raz powiedzieć na ten temat prawdę – że na to nie było mądrych, takie były czasy. I gdyby dziś (nie daj Bóg) nastąpiły podobne czasy, działałoby to samo. Tu trudno powiedzieć, że ten czy ów zginął, bo był nierozsądny. Po prostu były takie warunki, niezależne od nikogo i niczego, że tylko nielicznym udało się przeżyć.

Jako przykład warunków wojennych niech posłużą losy mojego kuzyna wspomnianego już Tadeusza Siekaczyńskiego. Dwa lata starszy ode mnie, po ucieczce z niemieckich junaków (Baudienst) brał udział w walce z Niemcami w szeregach Narodowych Sił Zbrojnych. Po wyzwoleniu, 6.11.1944 r., gdy oddziały NKWD otoczyły Urzędów i zaczęły wybierać byłych partyzantów – on ukrył się i uniknął deportacji do obozu jenieckiego w ZSRR. Poszedł potem do wojska, do 2. Armii gen. Popławskiego. Był na froncie i pod Nysą zginął. Gdy ja po dwóch latach wróciłem z niewoli, na drugi dzień poszedłem do wuja (mieszkał dwa domy bliżej rynku) i pytam: „Gdzie Tadek?”. Wuj z płaczem przejechał mi palcem po piersi, mówiąc: „Tadek dostał 8 kul w piersi. Nawet nie wiemy gdzie leży. Może lepiej, żeby go Rosjanie wtedy

złapali i wywieźli do niewoli, może by przeżył jak ty”. Dla mnie osobiście młode lata przeżyte podczas okupacji były jeszcze o tyle trudniejsze, że wychowywałem się bez ojca. Pracował na mnie brat. A chleb zapracowany przez brata jest gorzki, nieraz polany łzami.

We wspomnieniach tych wiele spraw tylko zasygnalizowałem, że zaistniały. Wiele spraw opisałem bardzo pobieżnie. Ale pamięć ludzka jest zawodna. Po 40 latach niełatwo jest pisać na ten temat. I proszę pamiętać, że niżej podpisany jest nieuruchomiony nieuleczalną chorobą w Warszawie, bez możliwości wyjazdu do Urzędowa i skorygowania wielu faktów. A przecież żyją w Urzędowie jeszcze ludzie, którzy te czasy pamiętają i wiele zdarzeń z okresu wojny przy ich pomocy można by opisać szerzej. Niżej podpisany już tego uczynić nie może.

A oto lista nazwisk mieszkańców Urzędowa, którzy zginęli podczas II wojny światowej i jeszcze w ciągu kilku lat po jej zakończeniu, sporządzona na podstawie materiałów dostarczonych mi przez pana Tadeusza Woškowskiego. Niech ona będzie przestrogą i hasłem: Nigdy więcej wojny!!!

Warszawa, 4.11.1984 r.

Lista osób z Urzędowa zamordowanych w latach 1939–1948:

1. Abrozkiewicz Julian, lat 33 – komunista, zginął w 1939 r. we Lwowie.
2. Bomba Czesław, lat 40 – zginął w 1945 r. od band w Skorzcycach.
3. Brożek Jan – postrzelony, zmarł w szpitalu w połowie wojny, Rankowskie.
4. Brożek Stefan – zginął z rąk partyzantów.
5. Bryndza Kazimierz, lat 33 – zabity przez partyzantów pomyłkowo we młynie w 1945 r.
6. Borowiecki Lucjan – zginął w niemieckim obozie, 1942 r.
7. Bąk Marianna, ur. w 1880 r. – zginęła z rąk partyzantów w domu w 1946 r.
8. Buda Czesław, lat 34 – zginął na Syberii.
9. Baranek Czesław – partyzant AK, zginął z rąk Niemców w Zakrzówku w 1943 r.
10. Brożek Stanisław – partyzant AK, zginął z rąk Niemców w Zakrzówku w 1943 r.
11. Biernat Czesław, lat 23 – zabity przez UB w 1946 r.
12. Biernat Feliks – zginął w 1939 r. w Warszawie.
13. Biernat Helena z Pożyciów – zginęła z rąk Niemców w Krasnymstawie.
14. Bałaszek Adolf, ur. w 1920 r. – zginął z rąk Niemców w 1943 r. w Zakrzówku.
15. Bałaszek Teofil, ur. w 1894 r. – zginął z rąk Ukraińców w 1944 r. w Urzędowie.
16. Bożek Maria, lat 30 – zginęła w 1944 r. przypadkowo podczas ucieczki od Niemców.
17. Chłodna Helena – zabita przez bandę w Ludwinowie.
18. Ciempiel Józef – partyzant AK.
19. Chróścielewski Edward, lat 26 – zmarł po aresztowaniu i pobiciu przez UB w 1946 r.

20. Cieśliski Józef – zginął w 1939 r. w Kraśniku od bomby.
21. Cieśliski Stefan, ur. w 1912 r., inż. rolnik – zmarł w niewoli w Niemczech.
22. Cieśliski Konstanty, ur. w 1919 r. – za ucieczkę Niemcy zabili go kolbami w Kraśniku.
23. Chęciński Władysław – zginął w 1943 r. zabity przez nieznaną osobę.
24. Dzikowska Janina, ur. w 1912 r., z domu Bąk – zginęła w partyzantce w 1946 r.
25. Dzikowski Aleksander, ur. w 1910 r. – zginął z rąk Niemców w Skorczycach w 1943 r.
26. Dzikowski Julian, lat 52 – zginął z rąk Niemców za opatrzenie ранego Żyda w 1943 r.
27. Dzikowski Bogumił, ur. w 1922 r. – zginął z rąk Niemców.
28. Dzikowski Franciszek – partyzant, zginął przypadkowo.
29. Dzikowski Błażej, ur. w 1881 r., 2 razy poseł na Sejm – zginął z rąk Niemców w Lublinie.
30. Dzikowska Genowefa – zginęła w 1943 r. z rąk Niemców na polu pod Ratoszynom.
31. Dzikowska Jadwiga, ur. w 1925 r. – pracowała w restauracji w Niemczech, zginęła w obozie w 1943 r.
32. Dzikowski Roman – zginął z rąk Niemców na polach pod Ratoszynom w 1943 r.
33. Dziewanowski Andrzej – zginął z rąk Niemców, zastrzelony w Niedrzwicy w 1943 r.
34. Dudzic Jan, ur. w 1913 r. – zginął na wojnie w 1939 r.
35. Dębicki Piotr, ur. w 1914 r. – zginął z rąk żandarmerii i Policji Polskiej zabity kijami.
36. Gajewska Janina, lat 22 – zginęła z rąk „Cygana” w 1946 r., Bęczyn.
37. Gajewska Sabina, lat 26 – zginęła z rąk „Cygana” w 1946 r., Bęczyn.
38. Gruchalski Jan – komunista PPR, zginął z rąk Korczyńskiego we wsi Grabówka.
39. Gajewski Czesław – zginął z rąk Niemców w Lublinie na Zamku w 1940 r.
40. Gajewski Gabriel, ur. w 1923 r. – zginął z rąk kolegów na Zakościelnym w 1945 r.
41. Gajewski Tadeusz, ur. w 1925 r. – zginął z rąk MO w 1944 r. na Bęczynie.
42. Gruchalski Piotr – członek PPR, zginął z rąk AK za zesłanie wielu urzędowiaków do więzień.
43. Gruchalski Janusz – członek PPR, zginął z rąk AK za więzienie urzędowiaków.
44. Gruchalski Aleksander – członek PPR, zginął z rąk policji granatowej w Urzędowie w 1943 r.
45. Gozdalski Eugeniusz, ur. w 1910 r. – zginął na wojnie pod Zamościem w 1939 r.
46. Gozdalski Dominik, ur. w 1923 r. – zginął z rąk Niemców, zabity na polu w 1943 r.
47. Gozdalski Ludwik, lat 32 – zginął z rąk Niemców, zabity w Kraśniku.
48. Gozdalski Wacław – w 1944 r. zginął z rąk kolegi.
49. Gałkowski Aleksander, lat 40 – zginął w Warszawie w pociągu w 1939 r.
50. Grabowski Aleksander – zginął z rąk Niemców w Lublinie w 1940 r. za organizację ZWZ.
51. Grabowski Jan – zginął za Bugiem – tam mieszkał.
52. Gładkowski Zdzisław, ur. w 1926 r. – zginął z rąk Ukraińców w 1944 r. w Urzędowie.
53. Gołofit Kazimierz, ur. w 1913 r. – zginął z rąk Niemców na polu, Rankowskie.
54. Głab Jan, lat 28 – zginął w 1939 r.
55. Jagiełło Adolf, ur. w 1900 r. – zginął pod Opolem w 1943 r., Rankowskie.
56. Jacniacki Hieronim, ur. w 1922 r. – zginął z rąk „Cygana” w 1945 r., nie chciał oddać broni.
57. Jacniacka Leokadia – zginęła z rąk Ukraińców w 1943 r. w Nabrożu.
58. Jacniacki Roman, brat księdza – zginął z rąk Ukraińców w 1943 r. w Nabrożu.
59. Klocek Bogdan, ur. w 1921 r. – zginął w więzieniu z rąk Niemców w 1943 r.
60. Kochański Władysław, ur. w 1921 r. – partyzant AK, zginął koło Janowa po wyzwoleniu.
61. Kołbuk Tadeusz, ur. w 1905 r. – zginął na wojnie w Rosji, z Gór.
62. Kotowski Witold, lat 35 – zginął z rąk Niemców w 1943 r., Bęczyn.
63. Krzeszowski Czesław, ur. w 1919 r. – zginął z rąk Niemców w Lublinie na Zamku, Mikuszewskie.
64. Kotowska Marta, lat 33 – zginęła z rąk „Cygana” w 1945 r.
65. Kiebańska Krystyna, lat 21 – zginęła z rąk żołnierzy rosyjskich w pociągu w 1944 r.
66. Kalisz Kazimierz – zginął z rąk miejscowych w Urzędowie w 1942 r.
67. Majewska Leokadia, ur. w 1905 r. – zginęła z rąk partyzantów w Urzędowie w 1943 r.
68. Madejek Antoni – sołtys, zginął z rąk „Cygana” w 1945 r.
69. Mazur Jan – zginął z rąk Niemców w Kraśniku w 1943 r.
70. Mazurek Jan, ur. w 1916 r. – zginął z rąk Niemców w Lublinie w 1943 r.
71. Mazurek Sabina, ur. w 1923 r. – zginęła z rąk Niemców w Lublinie w 1943 r., Rankowskie.
72. Mazurek Karol – zginął z rąk Niemców na robotach w Niemczech w 1945 r.
73. Niedzielski Teofil – zginął z rąk Niemców za kradzież.
74. Niewczas Andrzej, lat 44 – zginął od bomby pod Kraśnikiem w 1939 r.
75. Nowotnik [imię nieznanne] – zginął jako żołnierz 1. Armii WP pod Warszawą w 1944 r.
76. Obłewski Józef – zginął z rąk UB w Dzierzkowicach w 1946 r.
77. Obłewska Apolonia – zginęła na robotach w Niemczech w 1945 r.
78. Pasternak Aleksy, lat 35 – zginął w partyzantce w 1944 r.
79. Rolla Ludwik, lat 65 – rozstrzelany w Bełżycach przez Niemców.
80. Rolla Czesław, lat 19 – więziony w Kraśniku, zginął z rąk Niemców.

81. Rolla Aniela, lat 84 – zginęła we Lwowie w 1939 r.
 82. Rosowski Andrzej – zginął z rąk partyzantów.
 83. Rosowski Edward – zginął w Niemczech.
 84. Rosowski Kazimierz, ur. w 1927 r. – zginął z rąk partyzantów za rozboje w 1944 r.
 85. Rosowski Lucjan – zginął w Niemczech.
 86. Rosowski Władysław, ur. w 1902 r. – zginął z rąk partyzantów w 1944 r., milicjant.
 87. Rosowski Zdzisław – zginął z rąk partyzantów.
 88. Ryniewski Aleksander, ur. w 1912 r. – zginął z rąk Niemców w Ratoszynie na kierkucie.
 89. Różycki Józef, lat 21 – zginął z rąk Niemców we wsi Natalin w 1941 r.
 90. Rzepecki Stanisław, ur. w 1905 r. – zginął z rąk Niemców w Zakrzówku w 1943 r., Zakościelne.
 91. Rzepecki Zbigniew, lat 19 – zginął z rąk Niemców w Zakrzówku w 1943 r., Zakościelne.
 92. Surdacki Beniek „Cygan” – partyzant AK, zabity przez UB w Popkowicach w 1946 r., Bęczyn.
 93. Surdacki Jan, lat 23 – partyzant AK, zginął w 1948 r.
 94. Surdacki Leon – zabity przez UB za partyzantkę w 1947 r.
 95. Skowron Jan – zmarł pobity przez NKWD, Bęczyn.
 96. Surdacki Bolesław – rozstrzelany przez Niemców i Ukraińców w Niedrzwicy w 1944 r.
 97. Surdacki Robert, ur. w 1925 r. – rozstrzelany przez Rosjan w Krakowie w 1945 r., Bęczyn.
 98. Siekaczyński Tadeusz, ur. w 1923 r. – zginął w Nysie na froncie w 1945 r., żołnierz 2. Armii WP.
 99. Smętek Antoni – zginął pomyłkowo zabity przez Wojsko Polskie w 1948 r. w Leśniczówce.
 100. Świątek Michał – zginął w 1946 r., partyzant.
 101. Tomczyk Bolesław, lat 64 – zginął w powstaniu warszawskim jako cywil w 1944 r.
 102. Urbańska Feliksa, lat 35 – zginęła w powstaniu warszawskim jako cywil w 1944 r.
 103. Wośko Marian, lat 18 – zginął po wyzwoleniu w partyzantce.
 104. Wośko Jadwiga, ur. w 1916 r. – zginęła z rąk żandarmów za wypuszczenie więźnia w 1942 r.
 105. Wośko Błażej, lat 55 – zginął w 1944 r. z rąk Ukraińców w Urzędowie.
 106. Witek Waclaw, lat 35 – zginął za Krakowem z rąk Niemców, Bęczyn.
 107. Zwłoch [imię nieznane] – żołnierz 1. Armii WP, zginął pod Warszawą w 1944 r.
 108. Żyszkiewicz Hieronim, lat 31 – zginął w 1946 r. w lesie, Bęczyn.
 109. Żyszkiewicz Józef – zginął w 1946 r. pomyłkowo za Piotra Gruchalskiego, Wodna.
- Obozy koncentracyjne:**
- Auschwitz:
- Ks. dr Zygmunt Surdacki – wikariusz generalny, zastępował biskupa lubelskiego w 1941 r.
 Jagiełło Konstanty – absolwent Wydziału Prawa KUL w Lublinie, zamęczony w 1941 r.
 Jackowski Bolesław – zginął za AK w 1942 r.
 Piotrowski Edward – zginął w 1941 r.
- Plątek Andrzej – zginął w 1941 r.
 Matejak Władysław – zginął w 1942 r.
 Żyszkiewicz Edmund – zginął w 1941 r.
- Dachau:
- Ks. Edward Gajewski – zginął w 1943 r.
 Józef Przysucha – naczelnik pocztowy w Krakowie
 Jan Smoliński lat 18 z przedmieścia Mikuszewskiego
 Jan Wośko – zginął w 1942 r.
- Mauthausen:
- Wincenty Kowalewski z Bęczyna
 Aleksander Żyszkiewicz z ul. Wodnej
- Obóz w Dębicy:
- Franciszek Chudzicki z Zakościelnego
 Leon Dobrowolski z Osady
 Stanisław Dzikowski
 Józef Gajewski
 Franciszek Jackowski
 Jan Pawłowski
 Franciszek Menkał
 Marian Zgrajewicz z Osady
- Ks. Władysław Jacniacki zginął w Warszawie w obozie w 1943 r.
- W kampanii wrześniowej zginęło:**
- Oficerów – 6
 Żołnierzy – 9
- W Katyniu w 1940 r. zginęli:**
- Cieślicki Antoni s. Jana, ur. w 1920 r. – porucznik w Piaskach
 Cieślicki Zygmunt, ur. w 1905 r. – inż. porucznik
 Cieślicki Tadeusz, ur. w 1912 r. – porucznik KOP nad Zbruczem
 Gładkowski Józef, ur. w 1917 r. – oficer służby więziennej w Sarnach
 Michalewski Władysław, ur. w 1893 r. – major
 Józefczak Jan, ur. w 1904 r. – kapitan artylerii
 Wyrostek Waclaw, ur. 1912 r. – porucznik
 Wójcicki Aleksander – inżynier
- Inne obozy na terenie ZSRR, lata 1944–1947:**
- Cieślicki Longin – za AK w obozie w Borowiczach w 1946 r.
 Cieszkowski Hipolit – za AK, zmarł w obozie w 1945 r. w Piazonej Oblaści
 Mazurkiewicz Józef – zmarł po powrocie z obozu w 1947 r.
 Geneja Leon – zmarł po powrocie z obozu na gruźlicę w 1948 r.
- Zginęli w walce w szeregach AK:**
- Cieszkowski Mieczysław „Grzechotnik”, ur. w 1911 r. – zginął w 1944 r. w Kluczkowicach
 Goliński Henryk, lat 29 – zginął we wsi Wandalin w 1944 r.
 Jagiełło Władysław – zginął we wsi Wandalin w 1944 r.
 Kleniewski Bohdan „Sokół” – zastrzelony przez Niemców w Urzędowie w 1944 r.
 Mazik Jan, ur. w 1922 r. – zginął w walce z Niemcami pod kapliczką św. Elżbiety w 1944 r.

Anna Paulina Puchajda

Byłam jeszcze dzieckiem

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, miałam lat trzynaście. Mieszkałam w Wieliczce pod Krakowem. Ojciec chemik, prowadził laboratorium w Żupie Solnej. Przeszłam do drugiej klasy gimnazjum i na tym na razie skończyła się moja edukacja. Los miał mnie zagnać prawie na dwa lata na Ukrainę, potem do Warszawy i w końcu do Niemiec. Dziś zatarły się w mojej pamięci niektóre nazwy miejscowości, lecz ciężkiego życia i niewoli nie zapomnę nigdy.

W parę dni po wybuchu wojny dowiedziałam się o ewakuacji. Miała się ona odbyć fabrycznymi samochodami na dworzec kolejowy w Krakowie, a następnie pociągiem. Przy wsiadaniu panował kompletny chaos. W samochodach było niewygodnie i ciasno. Wobec tego pozostawiając tam matkę z moją młodszą o trzy lata siostrą, ojciec udał się ze mną do domu, by zabrać rowery i na nich pojechać do Krakowa.

Na dworcu w Krakowie dowiedzieliśmy się jednak, że z powodu braku wagonów pracownicy Żupy Solnej pojechali samochodami w stronę Bochni. Nie przypuszczałam wtedy, że los rozdzielił mnie z matką na długo. Puściliśmy się w drogę na rowerach w nadziei, że odnajdziemy ewakuowanych.

W Bochni po raz pierwszy widziałam bombowce niemieckie, lecące wysoko. Wyglądały jak złowrogie ptaki. Bomby padały gęsto na miasto. Skryliśmy się z ojcem pod murem otaczającym jakiś ogród. Przewieszały się przezeń gęsto gałęzie drzew, co tworzyło jak gdyby baldachim, który chronił nas trochę przed pyłem i gruzem z walących się domów. Dygotałam ze strachu, ale aby czymś zająć uwagę, poprzez gałęzie próbowałam rachować samoloty. Naliczyłam ich około pięćdziesięciu.

Szosa prowadząca na wschód były zatłoczone ludźmi, wozami i samochodami. Gdy dawał się słyszeć warkot lotniczych motorów, kto mógł uciekał z szosy w pola i rowy. Samoloty niemieckie zbliżały się z błyskawiczną szybkością, pikowały nad większymi skupiskami ludzi i strzelały do nich z karabinów maszynowych. Drogi zaścielały trupy.

W tych warunkach, ciągle kryjąc się, nocując byle gdzie, jedząc wyproszony chleb, jechaliśmy we wschodnim kierunku.

W województwie tarnopolskim mieszkał wuj mego ojca. Do niego to chcieliśmy się dostać. Tak daleka droga wyczerpywała mnie. Najbardziej utrwaliła mi się w pamięci jedna noc, gdy prowadziliśmy rowery przez straszne piachy, nie mogąc dotrzeć do wsi. Już w końcowym etapie spotkaliśmy oddziały wojsk rosyjskich i wreszcie dotarliśmy do celu, do wsi.

Po przywitaniu się z wujem pragnęłam tylko jednego: spać. Tej nocy jednak jeszcze nie mogłam odpocząć. Ludność ukraińska ucieszona nadejściem Armii Radzieckiej zaczęła strzelaninę na wiwat. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, i kryliśmy się w ogrodzie przez całą noc. Rano

wszystko ucichło, Rosjanie zaprowadzili porządek i ład.

U wuja spędziliśmy kilka miesięcy. Zaczęłam chodzić do oddalonego o trzy kilometry miasteczka Chrostków do szkoły. Językiem wykładowym był ukraiński. Nauczyłam się go bardzo prędko, ale czytanie i pisanie szło mi ciężko. W klasie panowała jednak atmosfera nadzwyczajnego koleżeństwa, toteż inne uczennice czytały mi zadaną lekcję, a ja starałam się ją zapamiętać, by móc powtórzyć. W lecie pracowałam u ogrodnika przy podwiązywaniu pomidorów. Ciężko mi było. Buty już się zdarły, a spieczona grudki ziemi gniotły bosc stopy. Trudno jednak żyć u kogoś, choćby i u rodziny, na łaskawym chlebie. Ojciec więc starał się wszędzie o pracę. Nareszcie został chemikiem w gorzelnii w okolicach Sarn. Przenieśliśmy się tam.

Wiele osób pochodzących z centralnej Polski wróciło w owym czasie do tak zwanej Generalnej Guberni. Ojciec nawet o tym nie chciał słyszeć. Wiedział, czego się można spodziewać po Niemcach, i bał się o mnie. Pod Sarnami mieszkałam do chwili napaści Niemców na Związek Radziecki. Chodziłam tam też do szkoły oddalonej o dwa kilometry. Były nas w klasie dwie Polki.

Przed samym wkroczeniem Niemców na te tereny miałam okropne przeżycie. Obok gorzelnii był magazyn ze spirytusem. Ludność miejscowa, nie chcąc zostawić najeźdźcy tych zapasów, zaczęła wiadrami nosić spirytus ze zbiorników do domów. Rozlewał się na ziemię i na ubrania. Było go dużo. I wtedy stało się nieszczęście. Nastąpił wybuch. Cały magazyn stanął w płomieniach. Wtedy zobaczyłam chodzące, płonące żywe pochodnie ludzkie. Niektórzy znajdujący się w drzwiach lub całkiem na zewnątrz zdołali uskoczyć, ale ubranie nasiąknięte spirytusem paliło się błyskawicznie. Ludzie tarzali się w kałużach wody deszczowej, chcąc ugasić na sobie ogień. Wielu, nie tracąc przytomności umysłu, rozbierało się do naga. Ciała były jednak już poparzone i włosy tliły się przy skórze.

Stałam jak skamieniała, z szeroko otwartymi oczami, i patrzyłam z odległości kilku metrów na ten straszny widok. Ojciec potem mówił, że wyglądałam okropnie. Nie było chyba we wsi chaty, z której by ktoś wtedy nie zginął. Przez kilka dni jeszcze znajdowano popalone ciała w różnych rowach, zakamarkach i zbożach. Wszystkie ofiary wybuchu pochowano w jednej zbiorowej mogile. Straszny to był pogrzeb. Cała wieś szła na cmentarz z płaczem.

Kiedy Niemcy zajęli okolicę Sarn, postanowiliśmy z ojcem wrócić do Krakowa. Nie było to łatwe, gdyż nie mieliśmy pieniędzy. Ale akurat spotkaliśmy mego stryja, zabląkanego w tych stronach podczas działań wojennych. Ojciec wraz ze swym bratem zmajstrowali mały ręczny wózek, na który spakowaliśmy nasz skromny dobytek, i na piechotę udaliśmy się w stronę Lwowa.

Szłam z trwogą. Pomimo tęsknoty za matką, z Ukrainy wyniosłam wspomnienia chwil przyjemnych. W zimowe wieczory zbierały się dziewczęta i kobiety to w tej, to

w owej chacie, by praść cienkie, równiutkie nici na wrzecionie. Uczylałam się i ja tej niełatwej sztuki. Przy pracy śpiewaliśmy ukraińskie i rosyjskie pieśni, tak piękne, że do dziś przepadam za tymi melodiami. Teraz Ukraina pozostawała za mną. Co mnie spotka?

Droga nie była łatwa. Przede wszystkim trzeba się było starać o żywność i noclegi. Przyłączyła się do nas jeszcze jedna kobieta. Ojciec ze stryjem ciągnęli wózek, a my we wsiach prosiłyśmy o chleb. Czasem wróżyłyśmy z kart, by zdobyć pożywienie. Plotłam nieraz jak Cyganka, co mi ślina na język przyniosła. Za wróżbę dostawałam jajka, mleko lub chleb. Częściej wróżyła nasza współtowarzyszka podróży, ja natomiast zbierałam trochę wiadomości o tej lub innej gospodyni, żeby wróżba wypadła prawdopodobniej.

Dotarliśmy do Lwowa. Tu cudem jakimś dostaliśmy pokoik w hotelu.

Po paru dniach zobaczyłam transport radzieckich jeńców wojennych, konwojowanych przez Niemców. Widok był wstrząsający. Rosjanom nie zapewniono zaspokojenia elementarnych ludzkich potrzeb. Byli wynędzniali, zawszeni i chorzy w znacznej części na tyfus brzuszny oraz płamisty.

Po wielkich staraniach otrzymaliśmy przepustkę do Generalnej Guberni i pociągiem wróciliśmy do Krakowa. Już na drugi dzień okazało się, że zaraziłam się tyfusem. Po powrocie do Wieliczki położyłam się do łóżka i przeleżałam dwa miesiące.

Rychło musieliśmy ruszać na dalszą tułaczkę, gdyż w Wieliczce Niemcy obsadzili posady w Żupie Solnej swymi ludźmi, Ojciec wystarał się o pracę chemika w prywatnej fabryce papieru w Warszawie na Woli u Franaszka. Pensja jego wynosiła około trzystu złotych miesięcznie, to jest tyle, ile właściciel fabryki wydawał na papierosy dla siebie i swoich gości. Przystąpiłam i ja do pracy w tejże fabryce przy zwijaniu błon do aparatów fotograficznych, nie tylko dla zarobku, ale i dla ochrony przed wywiezieniem na roboty przymusowe do Niemiec. Groziło mi to, ponieważ miałam już szesnaście lat.

Po południu uczęszczałam na kursy handlowe, rzekomo jednoroczne. W rzeczywistości było to tajne gimnazjum czteroklasowe, a każdy uczeń z drugiej, trzeciej czy czwartej klasy ciągle dostawał świadectwo z jednorocznych kursów handlowych, pisane po polsku i po niemiecku.

Na ulicach Warszawy szalał okupant. Przechodzień nigdy nie mógł być pewny, czy nie zostanie złapany i wywieziony do Rzeszy lub co gorsza – rozstrzelany jako zakładnik. To na tej, to na innej ulicy hitlerowcy rozstrzelali ludzi z zakneblowanymi gipsem ustami. Potem, wrzuciwszy ciała na samochód, odjeżdżali. Wtedy ludność Warszawy zasypywała miejsce stracenia kwiatami. Ale i za to groziły ostre represje.

Cierpieliśmy coraz większy głód. Deputaty były skąpe i czasem nie do użytku, chleb ze stęchłej mąki i trocin.

Byłam świadkiem powstania w getcie. Żydzi walczyli do ostatniego tchu, z niewielką ilością broni przeciwko zębom uzbrojonym Niemcom. Widziałam Żyda, który w ostatniej rozpaczycy wdrapał się na mur getta i zdołał rzucić granat w grupę Niemców, by za chwilę zginąć. Hi-

terowcy w końcu użyli samolotów. Cała dzielnica płonęła. W nocy szeroka luna biła na miasto. W dzień dym siał się po ulicach Warszawy i szedł swąd spalenizny.

Dziś, gdy wspominam te chwile, serce kurczy mi się z bólu i grozy. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego niewinni ludzie tyle cierpieli. Dlatego, że byli Żydami? Straszne!

Wkrótce i my znaleźliśmy się w takiej samej sytuacji. Wybuchło powstanie warszawskie. Właśnie wracałam z pracy. Szłam piechotą, gdyż tramwaje nie kursowały, a na ulicach już dawał się odczuć dziwny niepokój. Dochodziłam do Placu Teatralnego, gdy usłyszałam strzały. Wraz z kilkoma przechodniami schroniłam się do pierwszej z brzegu bramy, a potem do piwnic w tymże domu. Spędziliśmy tam całą noc. Kiedy jednak rano próbowaliśmy wyjść, z dachu teatru Niemcy otworzyli do nas ogień z karabinów maszynowych. Dopiero wieczorem chyłkiem przekradłam się na Stare Miasto. Stąd na Żoliborz przeszłam z podniesionymi rękami przez wiadukt nad Dworcem Gdańskim. Mieszkałam na ulicy Felińskiego, więc już od dworca niedaleko.

Od tej chwili zaczęły się dni pełne niepokojów. Strzelanina nie milkła ani na chwilę. Kule wpadały do mieszkań. Armaty ustawione na torach kolejowych ostrzeliwały systematycznie całą dzielnicę. Trzeba było zamieszkać w piwnicy.

Nie mogłam usiedzieć na miejscu. Wreszcie udało mi się skontaktować ze szpitalem na Śmiałej, gdzie zostałam przyjęta do pomocy w pielęgnowaniu powstańców. Pracy było dużo. Rannych przybywało. Leków brak, a przyrządów operacyjnych też nie było. Przynoszono ciągle nowych chorych. Jedni bez rąk i nóg, inni podziurawieni od kul. Czasem w nocy nadlatywał radziecki samolot, zwany kukuruźnikiem, zniżał się nad ogrody i zrzucał lekarstwa.

A potem nadszedł najsmutniejszy dzień. Uzbrojeni Niemcy wyrzucali ludzi z wszystkich domów na ulicę.

Poprowadzili nas w długim, nie kończącym się pochodzie do pociągu. Szliśmy między ruinami. Ach! Warszavo! Co się z tobą stało?

Konwojenci niemieccy poganiali nas krzykiem i kopniakami. Wywieziono nas do obozu w Pruszkowie. Tam Niemcy segregowali ludność Warszawy. Młodszych i silniejszych przeznaczali na wywóz do Niemiec. Starców lub chorych mieli pozostawić w Generalnej Guberni.

W pierwszej chwili dopisało mi szczęście. Pracująca w Pruszkowie pielęgniarka, chcąc mi pomóc w pozostaniu w Polsce, dostarczyła bandaży, owinęła rękę i przeprowadziła mnie do odpowiedniego baraku. Niestety, w najbliższym transporcie do Niemiec brakowało kilkudziesięciu osób i zrobiono dodatkową selekcję. Do naszego baraku przyszło kilku oficerów niemieckich i wybrało grupę ludzi, w której znalazłam się ja, moi rodzice i siostra. Jeszcze raz próbował nas uratować pewien polski kolejarz, wpuszczając do wagonu przeznaczonego dla tych, co pozostają w Polsce. Spostrzegł to jednak jakiś Niemiec i z okropnym krzykiem kazał nas wyrzucić.

W kilka godzin później jechaliśmy towarowym pociągiem do Rzeszy. W wagonie panował zaduch. Siedzieliśmy w kucki lub stali prawie jedno przy drugim. Wszyscy byli potwornie głodni i walili się z nóg z wyczerpania.

Gdy minęła doba, otworzono drzwi wagonu i dano nam zupe, chyba z lupin ziemniaczanych, gdyż trzeszczała w zębach. Jedliśmy, w czym się dało. Nawet w czapkach. Głód robi swoje, je się każde świństwo.

Ponieważ nie wypuszczano nas z wagonu, musieliśmy załatwiać się do wspólnej puszki po konserwach. Po dwu dobach wypuszczono nas za swoją potrzebą, ale nie pozwolono się oddalać, kucaliśmy więc rzędem ku wielkiej uciezce Niemców.

Następnego dnia pociąg zatrzymał się przy obozie koncentracyjnym w Neuengamme pod Hamburgiem. Tam staliśmy dwa dni. Trzymano nas w wagonach, ale pozwolono wychodzić do studni po wodę i do ubikacji. Tu dostaliśmy już lepszą zupe, bo jak dla świń – ziemniaki rozgotowane z jęczmieniem.

Kolejnego dnia poszło po wagonach wołanie:

– Mężczyźni wysiadać!

Kobiety ogarnęła panika. Już przedtem udało się paru jeńcom z obozu podejść do wagonów i ostrzec:

– Uważajcie, bo tu was rozdziela z kobietami. Jeżeli macie złoto lub biżuterię, oddajcie kobietom.

Wyszli więc mężczyźni i pomaszzerowali wzdłuż wagonów. Gdyśmy się zwracały do Niemców z pytaniem, dokąd idą, odpowiadali, że po kawę. Gdy napierałyśmy, żeby powiedzieli prawdę, wołali po niemiecku ze śmiechem, że trzeba było dać im na drogę słodkiego całusa. I tak wyszedł z pociągu mój drogi ojciec, by nas osierocić. Nigdy go już więcej nie zobaczyłyśmy.

Kobiety rzuciły się do maleńkiego okienka i żegnały z płaczem swoich bliskich. W pewnym momencie chyba konwojenta ruszyło sumienie, bo pozwolił się oddziałowi zatrzymać. Jeden z Niemców podał kilku mężczyznom rzucone przez nas okrycia. Podałam i ja palto dla ojca. Widziałam, jak dygotał z zimna. Zdażył jeszcze krzyknąć:

– Zaraz po śniadaniu do was wrócimy.

To były jego ostatnie słowa do nas. Obraz jego szlachetnej twarzy utkwił mi boleśnie w sercu na całe życie.

Potem wożono nas przez dwa czy trzy dni. Nie wiem, którądy. Przyszło zobojetnienie.

W końcu któregoś wieczora zatrzymano pociąg, kazano nam wysiąść i uformować się w szeregi do marszu. W pewnym momencie oblało mnie światło silnego reflektora. Otworzyła się przed nami brama obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Umieszczono nas w wielkim namiocie z ceglana podłogą, przyprószoną słomą. Na takim to posłaniu położyłyśmy się na spoczynek. Nie starczało już miejsca w barakach lagrowych, toteż miałyśmy pędzić życie obozowe w namiotach.

Było nas około sześciuset kobiet, niektóre z dziećmi. Jakaś dziewczynka nie miała jeszcze dwóch lat. Ja liczyłam wtedy lat siedemnaście, a moja siostra czternaście.

Co dzień z namiotu zabierano pewną partię kobiet, które odchodząc porzucały złoto, ubrania, pieniądze. Zabierały to wszystko „hieny lagrowe”, gdy bijąc wypychały nas do wynoszenia kibli lagrowych.

Głównym naszym zajęciem stało się szukanie insektów, od których roilo się w odzieży.

Po tygodniu zostało nas w namiocie blisko sześćdziesiąt. Wyznaczono nam numery, ja otrzymałam 77150.

Numer ten miałam wyszyty na płóciennym woreczku, który przechowałam do dziś.

Pewnego dnia wyrzucono nas na podwórze lagrowe. Stałyśmy kilka godzin. Gdy nadeszła noc, kazano nam wrócić do namiotu. Tu zastałyśmy już wszystko sprzątnięte, słomę wymiecioną. Trzeba było spać wprost na ceglach, od czego matka moja nabawiła się reumatyzmu.

Następnego ranka – ku memu ogromnemu zdziwieniu, przy dźwiękach kobiecej orkiestry wyprowadzono nas z obozu i wywieziono do miejscowości Zehdenick położonej około trzydziestu kilometrów od Berlina. W pobliżu miasteczka był ogromny folwark, gdzie zagnano nas do wykopków. Praca przy strasznie marnym wyżywieniu była ponad siły. Rano, jeszcze po ciemku, wychodziłyśmy w pole, a wieczór, już po ciemku, wracałyśmy, by rzucić się bezwładnie na słomę w kamiennym spichrzu, przeznaczonym nam na mieszkanie. Dostawałyśmy na cały dzień ćwierć kilograma chleba na osobę i czarną gorzką kawę, a na obiad w polu – zimną, niesioną i wodnistą zupe.

Każdy miał wyznaczony obszar do wybierania ziemniaków. Kto był słaby i nie nadążał, dostawał batem od dozorczy nazwiskiem Klak.

Była już późna jesień i rano siwy szron pokrywał pola. Odmroziłam wtedy kolana, tak utworzyły mi się na nich rany, ponieważ pomagałam słabej matce i małej siostrze i ze zmęczenia zbierałam na kolanach ziemniaki. Gdy po trzech tygodniach wykopki się skończyły, zabrano nas na swoisty targ niewolników do Zehdenick, skąd porozbierali nas między siebie okoliczni gospodarze. I tak my, polskie dziewczęta stałyśmy się sługami niemieckich chłopów.

Ja dostałam się do Kutza we wsi Bergsdorf w pobliżu Zehdenick. Pracował tam już od czterech lat pewien Polak z Warszawy. Pomagał mi z początku porozumiewać się z Niemcami i uczył pracy gospodarskiej, wyręczając często w trudniejszych zajęciach.

W tej samej wsi przebywało na przymusowych robotach kilku Polaków, Francuzów i Rosjan. Wieczorem zbieraliśmy się razem na pogawędkę.

Matka z siostrą o siedem kilometrów ode mnie w Zehdenick wraz grupą trzydziestu Polek naprawiały mundury dla wojska. Cierpiały głód. Bywało, że i trzy ziemniaki na dzień musiały im wystarczyć.

Ja jadłam wspólnie z gospodarzami. Praca na razie nie była ciężka, bo zima. Najtrudniej mi było nauczyć się doić krowy, które były ogonami po oczach. A musiałam wydoić ich siedem. Ręce omdlewały. Pierwszy raz w twarz od bauera dostałam właśnie za chwilowe opuszczenie rąk przy dojeniu.

Jednego razu postanowiłam zanieść matce trochę ukradzionych ziemniaków i parę kromek chleba ze smalcem, odłożonych z mego posiłku. Wymknęłam się wieczorem po kryjomu, korzystając z pomocy warszawianka, współtowarzysza niedoli, który przystawił drabinę do okienka mego pomieszczenia na strychu. Wprawdzie było ono zakratowane, ale pręt obruszałam w ten sposób, że można go było odsuwać, a potem, wysliznąwszy się, wstawiać na miejsce.

Zarzuciwszy torbę na plecy, poszłam do Zehdenick. Wracałam przed północą i strasznie się bałam, by nie spo-

tkać żandarmów. W pewnej chwili usłyszałam głośny stukot podkutych butów. Uskoczyłam do rowu, przywarłam do ziemi. Serce podchodziło mi do gardła. Na szczęście żandarmi przeszli, nie spostrzegając mnie w ciemności.

Parę razy jeszcze w podobny sposób pomagałam matce, aż bauer znalazł u mnie schowane kromki chleba. Wpadł we wściekłość, uderzył mnie znowu w twarz, coś krzyczał, co najgorsze – zmniejszył mi porcje. Odtąd bardzo mnie pilnował i trudniej było coś wynieść.

Pewnego dnia do kobiet pracujących w Zehdenick dotarł mąż jednej, zbiegły z obozu, w którym przebywał i mój ojciec. Opowiadał, że Niemcy na skutek interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża przenieśli cały obóz Neuengamme do Berlina, i podał adres. Uprosiłam więc mojego bauera o zgodę na wyjazd do tego miasta. Jechałam z wielkim strachem, gdyż Polakom nie wolno było przebywać w pociągu bez oficjalnego zezwolenia. Ja go nie miałam. Unikałam więc rozmowy z Niemcami, żeby nie poznali po akcencie, że Polka. „P”, które wszyscy Polacy obowiązani byli nosić, zdjęłam.

Największe kłopoty zaczęły się w Berlinie, którego oczywiście nie znałam. Do odpowiedniej dzielnicy dostałam się środkiem lokomocji miejskiej, ale tutaj wałęsałam się nie mogąc odnaleźć właściwej ulicy. Szczęściem natrafiłam na wywiezioną tutaj Polkę, ta zaprowadziła mnie na miejsce. Weszłam do polskiego obozu od tyłu przez Polakom tylko znane, ukryte przejście w ogrodzeniu. Znalazłam się od razu w baraku, gdzie sypiał ojciec. Niestety, ojca przy życiu już nie zastałam. Koledzy jego opowiedzieli mi, jak umarł. Słabł i ślaniał się, a jeszcze gnano go wraz z innymi parę kilometrów do pracy na lotnisku. Gdy popuchły mu nogi, zabrano go do kuchni, do obierania kartofli. Jednego dnia zasłabł i zemdlął. Jeżeli tak się działo z którymś z więźniów, to nie było dla niego ratunku. Żywego jeszcze obdzierano z ubrania i rzucono na stos ciał w kostnicy. Tak samo zrobiono z ojcem.

Tego samego dnia wróciłam na wieś z sercem ciężkim jak kamień. Potem musiałam jeszcze patrzeć na rozpacz matki, która domyślając się złego, wymusiła na mnie wyznanie prawdy.

Przy końcu marca 1945 r. nareszcie usłyszeliśmy odgłosy frontu. Chłopi niemieccy wpadli w popłoch i większą część dnia przesiadywali w piwnicy. Detonacje były coraz głośniejsze. Nasza radość rosła.

Ale chwila wyzwolenia, tak już bliska, znowu się oddaliła. Ewakuowano wieś, gdzie pracowałam. Mój bauer załadował, co miał z żywności i lepszej odzieży na wozy i ruszyliśmy na zachód ku Elbie. Dobrze jeszcze, że pozwolił zabrać się z nami mojej matce i siostrze.

Wędrówka trwała kilka dni. Potem spotkaliśmy wozy niemieckich uciekinierów, wracające w swoje strony. Opowiadali, że wojska radzieckie już są przed nami. Trudno było w to uwierzyć. Szliśmy pieszo obok wozów całą noc, a za nami z boku grały katusze i pękały bomby. Gdy zgiełk bitewny stawał się coraz silniejszy, Polacy, znajdujący się w tej gromadzie, zmusili swoich do niedawna panów, Niemców, aby wszyscy usunęli się z głównej szosy do lasu, gdzie przesiadzieliśmy noc.

O świcie ukazały się na szosie auta i czołgi z wojskiem radzieckim.

Powracaliśmy do Polski traktorem z pobliskiego folwarku niemieckiego. Po przebyciu około czterdziestu kilometrów oddaliśmy go wojsku radzieckiemu, a w zamian otrzymaliśmy dwie pary małych, ale mocnych koni. Pewien kapitan rosyjski poradził, by wozy wziąć sobie od Niemców. W kilka chwil potem mieliśmy już wóz, a nawet bryczkę doczepioną do wozu, i dalejże w drogę.

Tak dobrnęliśmy na Ziemię Odzyskaną i zatrzymaliśmy się w Chojnie. Był rok 1945 – wiosna.

Postanowiłam z matką i siostrą pozostać tutaj na stałe. Zajęłyśmy jedno z wielu mieszkań i na razie po całych dniach wystawaliśmy w kolejkach po przydziały żywnościowe. Tymczasem zaczął się organizować zarząd miasta. Przystąpiłam tam do pracy w lipcu 1945 r. jako referentka. Siostra moja rozpoczęła pracę maszynistki w WOP-ie.

Powstał szpital, sklepy – i tak na moich oczach powracało do życia częściowo zrujnowane miasto. Jakiś czas trzeba się było jednak mieć na baczności, bo kręciło się tu pełno opryszków, którzy napadali w ciemnościach. Przy pomocy wojska i milicji wkrótce zaprowadzono spokój.

Jesienią tego samego roku wybrałam się do Polski centralnej, by się zobaczyć z rodziną. Co to była za podróż! Do Poznania – przygodnymi samochodami za opłatą w postaci wódki. Dopiero z Poznania do Warszawy już normalnie pociągiem. Właściwie też nienormalnie, bo pociągi kursowały nieregularnie. Ścisł był niesamowity. Ci, którzy nie mogli dostać się do wagonu, wdrapywali się na dachy i obsiadali bufory.

Dom, w którym mieszkałam w Warszawie, dziwnym trafem ocalał od całkowitego zniszczenia. Spotkałam znajomych, którzy już wrócili do swych mieszkań.

Z naszych rzeczy prawie wszystko rozkradziono, tylko parę mebli udało mi się sprzedać. Odwiedziłam także Kraków, potem wróciłam do Chojny. Na początku stycznia 1947 r. poznałam porucznika WOP-u i wyszłam za niego za mąż. Wtedy zrezygnowałam z pracy w zarządzie miejskim, gdyż okazało się, że mój mąż ma gospodarstwo rolne pod Kraśnikami. Ponieważ ukończył służbę wojskową, wyjechaliśmy w jego rodzinne strony.



Autorka wspomnień – **Anna Paulina Puchajda z domu Żelechowska**, urodziła się w 1926 r. w Krakowie. Po powrocie z obozu koncentracyjnego zamieszkała w Chojnie, gdzie poznała swojego przyszłego męża – Jana, który służył tam w wojsku. W czerwcu 1947 r. pobrał się. Niedługo po ślubie przeprowadzili się do Kozarowa koło Bobów. Urodziła czworo dzieci. Pierwsze zmarło kilka dni po porodzie. Kolejne to: Witold, Maria i Andrzej. Prowadziła dom oraz gospodarstwo razem z mężem, które przejęli po matce męża. Od stycznia 2004 r. jest wdową. Ma ośmioro wnuków i czternaścioro prawnucząt. Jej wspomnienia z lat wojny

pochodzą z książki *Niewolniczy chleb. Wspomnienia wojenne chłopów z lat 1939–1948*, Wyd. Książka i Wiedza 1970 r.

Zygmunt Krasiński

Wspomnienia z lat młodości

Pogrzeb Piłsudskiego

Był rok 1935. Miałem wtedy dziewięć lat. Pamiętam jak się szykowali peowiacy z Urzędowa pożegnać Józefa Piłsudskiego („Dziadka”). Pojechali do Wilkołaza, jako że wtedy miał przejeżdżać pociąg z ciałem marszałka do Krakowa, na Wawel. Trumna z ciałem jechała na lawecie armatniej ustawionej na platformie. Serce Piłsudskiego spoczęło w grobie jego matki na cmentarzu Rossa w Wilnie. My, jako dzieci, nosiliśmy na rękawach żałobę i śpiewali marsz żałobny, którego słowa trochę pamiętam.

Trochę o pułkowniku Lechnickim ze Skorczyc

Latem 1938 r. czterech chłopaków, wszyscy boso, stało przy gościńcu na Zakościelnym, blisko Psiej Górki. Od Urzędowa, a było to po deszczu, nadjechał mały samochód, stanął przy nas i pułkownik Lechnicki mówi: „No chłopaki, popchnijcie mnie kawalek”, no i pchaliśmy samochód prawie kilometr. Pułkownik wysiadł i pyta: „Który z Was najstarszy?”, a było nas dwóch Golińskich (Stefan i Bolesław), Edward Ambrozkiewicz i ja – Zygmunt Krasiński. Mówimy: „Goliński najstarszy”. Na to pułkownik: „Masz dwa złote, idź do Żyda, rozmień i podzielcie się równo”. Jak tylko pułkownik odjechał parę metrów, Ambrozkiewicz mówi do Stefana: „Ty nie umiesz liczyć, dawaj te dwa złote, ja rozmienię”. Rozmienił. Dał nam trzem po 30 groszy, a resztę policzył sobie.

O pułkowniku Lechnickim później słyszałem różne historie. Łukanty mi opowiadał, że w Skorczycach, gdzie grał na dożynkach, pułkownik wjechał na kasztance na salę drzwiami, a później chciał wyskoczyć na podwórze przez okno. Koń wyskoczył, a pułkownik został na sali. Potem ścigał się na kasztance z pociągiem od Wilkołaza-Wsi do Leśniczówki. Podobno razem dojechali do celu, ale kasztanka padła. Słyszałem jeszcze, że jak jeździł do panny Zembrzuskiej na Moniaki to ojciec tej panny mówił do niej: „Ty nie zachodź z nim, bo to światowiec, zginie i zostaniesz wdową”. I zginął w 1939 roku pod Janowem. Pochowany na cmentarzu w Popkowicach.

Moja nauka

Był rok 1941, okupacja. Uczyliśmy się w kamienicy Bijasiewiczów. Na ostatniej godzinie miała być religia, więc z kolegą Edkiem Pochroniem wyszliśmy po księdza. Staliśmy na rogu, koło spółdzielni, ale księdza nie było widać. Zobaczyliśmy za to, że nasza klasa wychodzi z tornistrami, więc szybko wróciliśmy do klasy po swoje. Kiedy weszliśmy do klasy, pan kierownik Pękalski mówi: „Uczcie się beże mnie. Nie dałeś złamanego szeląga, nie przychodź do szkoły, jak nie przyjdiesz z ojcem”. Ojciec mój, jako peowiak, nie poszedł do Rynku, bo się bał,

więc ja nie poszedłem więcej do szkoły. Zaraz zresztą musiałem się ukrywać, bo Arbeitsamt ścigał mnie, żeby wywieźć na roboty do Niemiec. Naukę ponownie podjąłem w 1962 r., kiedy wezwano rzemieślników na szkolenie zawodowe. Była to nauka co niedzielę, całą zimę. Uczono wszystkiego: nauka o Polsce, korespondencja zawodowa, rachunek zawodowy z kalkulacją, życiorys, podania, rachunki, obliczanie stożka, walca, płaszczyzn, technologia. Ta zimowa nauka więcej weszła mi do głowy niż sześć lat podstawówki.

Żydzi

Kiedy Niemcy zarządzili, żeby Żydzi szli do obozów, niektórzy z Żydów z Urzędowa i Skorczyc poszli do lasu. Za jakiś czas Niemcy urządzili na nich obławę. Kordonem, wspomagani przez samolot wyposażony w karabin maszynowy, otoczyli las skorczycki. Było to przed samymi żniwami. Jeden Żydek, dwa lata starszy ode mnie, przedarł się przez to okrażenie i uciekł przez zboże, ale został ranny. Kula trafiła go od przodu, pod obojczykiem. Znałem go dobrze, bo jego brat mieszkał u nas z pół roku.

Wieczorem, jak poszedłem zamykać chlew z krowami, zobaczyłem, że chlew jest zamknięty od środka. Usłyszałem: „Chodź, nie bój się, ja tu jestem – Szlama Lewin. Jestem bardzo głodny, bo przeleżałem prawie cały dzień w zbożu, bałem się podnieść”. Przyniosłem mu jeść, pokazywał mi miejsce po kuli, od przodu była mała dziurka, od tyłu dużo większa. Krwi mu dużo nie zeszło, bo koszula nie była bardzo zakrwawiona. Mówię mu: „Nie możesz tu długo być, bo do nas Niemcy wstępują”. Poszedł na początek Popkowic, bo stamtąd pochodził. Prawdopodobnie robotnik nazwiskiem Gościński, który pracował w fabryce w Budzynie, w magazynie zboża, mówił mu: „Chodź, zaprowadzę cię na fabrykę, bo tu zginiesz” i zaprowadził go, bo po wojnie mój znajomy Chrzanowski mówił, że go widział koło fabryki.

Spotkanie z „Zaporczykami”

Mówi się, że „Zaporczycy” to byli żołnierze niezłomni i to jest prawda. Spotkałem się z nimi na drodze między Skorczycami a Urzędowem, gdy szli pieszo spod Kraśnika do Łopiennika. Było ich około trzydziestu. Nieśli nie tylko swoje karabinki, ale i dwie rusznice przeciwpancerne. Żeby nieść je we dwóch, trzeba mieć siłę i zdrowie. Rozmawiałem z „Zaporą”. Mówił do mnie, że: „Jakby się kto o coś pytał to powiedz, że nic nie widziałeś”. Ja na to: „Nie bójcie się, wiem co mam mówić”.

Polowanie

Zaraz po wojnie, w 1944 roku odbywały się jesienią na Górach polowania na zające. W niedzielę zeszliśmy się

w sześciu: Edward Cieśliski, starszy łowczy ze strzelbą dubeltówką, Władysław Stec z dubeltówką po ojcu Janie, Stefan Władysław Rodzynek ze strzelbą pojedynką, Benedykt Surdacki „Cygan” z flowerem przerobionym na naboje od pepeszy, Teodor Kaniowski z karabinem rosyjskim z bagnetem oraz ja, Krasiński, ze strzelbą pojedynką. Rodzynek zastrzelił małego zajączka, a Beniek strzelał do brył, bo nie było do czego strzelać. Po godzinie rozeszliśmy się, każdy w swoją stronę. Tak wyglądało nasze pierwsze po wojnie polowanie.

Oblawa na partyzantów

Sąsiad nasz Piotr Dzikowski z Zakościelnego miał działkę kartofli na Górach, około 200 metrów od zabudowań Antoniego Sadowskiego, w kierunku północnym. W październiku 1946 r. ja z ojcem, razem z Dzikowskimi, wzięliśmy gracie i pojechaliśmy wozem konnym kopać te kartofle. Wykopaliśmy może pół wozu kartofli, kiedy panującą dokoła ciszę przerwało parę strzałów karabinowych. Zobaczyliśmy, że od domu Sadowskich wybiegło dwóch chłopaków partyzantów. Był to Edward Ambrożkiewicz ps. „Kruk” i Marian Skwara ps. „Sokół”. Za nimi sypał się grad kul. Oficer dowodzący akcją, kiedy zobaczył skaczące konie i nas leżących, krzyknął: „Nie strzelać, bo tam są ludzie”. Marian się ostrzeliwał z dwóch pistoletów; gdy mu zabrakło naboju w pistolecie

w prawej ręce, ze złości trzasnął go o ziemię i już więcej nie strzelał. Uciekał do odległego o około pół kilometra dołu, zwanego Łopińskim, w kierunku wschodnim. Kiedy miał jeszcze parę kroków do zarośli, trafiła go śmiertelna kula. Ambrożkiewicz w podskokach przebiegł koło nas, uciekając ze swoim psem na północ, do dołu Wierzbickiego. Była wtedy z nimi dziewczyna, której udało się uciec między domami. Zatrzymała się w trzecim domu, u Kowalskich. Nie pamiętam nazwiska tej dziewczyny.

Pluton wojska z Lublina prawdopodobnie podprowadził pod dom Sadowskich jeden z żołnierzy, który dobrze znał ten dom i był wtedy z wojskiem na Górach. Dom Sadowskich był gościnny dla partyzantów, mogli się tu zatrzymać i pożywić. W czasie wojny w 1943 r. mieszkał tu partyzant Piotr Pacanowski ps. „Luśnia”. Zginął on w 1943 r. w Natalinie. Nas przy wykopkach obroniła jakaś niewidzialna ręka, bo było strasznie, jak może ze dwudziestu żołnierzy strzelało do partyzantów. Słychać było jeszcze krzyk Heleny Piotrowskiej: „Nie strzelaj, bo tam przy kopcu kartofli jest mój ojciec”. Myślę sobie, że chłopaki, żołnierze nie chcieli ich zastrzelić, bo na taką odległość to można trafić szczura, a nie człowieka. Jan Piotrowski został wtedy ranny w nogę. Sadowski za pomoc partyzantom musiał odsiedzieć w więzieniu spory czas. Marian Skwara i Piotr Pacanowski są pochowani na cmentarzu w Urzędowie.

Stanisław Gajewski

Epizody z czasów II wojny światowej

Ultimatum dowódcy AK

Okupacja niemiecka, rok 1942. Łapanie i wywożenie młodych Polaków do Niemiec na przymusowe roboty. W łapanie znalazł się Tadeusz Gajewski, syn Jana. Idzie pod eskortą niemiecką, udaje mu się jednak uciec. Wraca do domu. Nocą Niemcy przybywają na Bęczyn, wyciągają go z łóżka i aresztują. Policjant, którego nazywano Reich, mówi do niego: „Spod mojego oka nie uciekniesz”. Kiedy jednak żandarmeria w Lublinie prowadzi go do pociągu, Tadeusz ucieka ponownie. W Urzędowie powstaje ruch partyzancki. Z początkiem 1943 roku bracia Cieszkowscy organizują Armię Krajową. Hipolit organizuje placówki w Rejonie I – okolice Kraśnika, Chodla, Opola Lubelskiego. Mieczysław organizuje żandarmerię do wykonywania zadań specjalnych, wyroków śmierci na agentach, folksdojczach, kolaborantach, landwirtach dokuczających ludności cywilnej, likwidowania posterunków niemieckich we wsiach i miasteczkach. Ścigany przez Niemców Tadeusz Gajewski chce wstąpić do żandarmerii Armii Krajowej zwanej Kedywem. Dowódca oddziału Mieczysław Cieszkowski pseudonim „Grzechotnik” nie chce przyjąć Tadeusza, bo jest za młody, ma niecałe

18 lat. Zgłaszają się starsi, ale brakuje dla nich broni. Tadeusz nalega. Żeby go zniechęcić „Grzechotnik” daje ultimatum: „Przyjdź z własną bronią, to cię przyjmę”. Tadeusz kombinuje. Pożycza rewolwer zwany naganem od byłego piłsudczyka Hipolita Mazurka i idzie z bronią do Kraśnika. Poluje na jakiegoś żołnierza niemieckiego. W bocznych uliczkach żadna okazja się nie trafia, lecz na głównej ulicy, przy Koszarach chodzi wartownik z karabinem. Kiedy Tadeusz przeszedł koło wartownika raz, drugi, trzeci, Niemiec zainteresował się jego osobą. Chce go wylegitymować, woła „Komm, Ausweis!”. Tadeusz nie mając wyjścia, wyjął broń i strzelił. Niemiec upadł, a Tadek chwycił karabin i zniknął w pobliskich uliczkach. Zdawał sobie sprawę, że będzie oblawa. Kiedy zobaczył kobietę suszącą siano, podbiegł do niej i rozkazał: „Wal na mnie kopę siana, uciekaj i nic nie mów”. Pod sianem leżał do późnego wieczora, kiedy to wyszedł kierując się oplotkami w stronę lasu. Musiał przebiec główną drogę i później wysoki nasyp, na którym był tor kolejowy. Cały nasyp oświetlony był reflektorami. Z trudem przebiegł przez tor. Za nasypem, między kępami lasu stały budynki gospodarskie. W gospodarstwach psy. Jak jeden zaszczekał hałaśliwie, to wszystkie jazgotały jak tylko

mogły, znaczyło to, że jest ktoś obcy. Z obawą, skradając się jak lis, czolgając się, dociera do gęstego lasu i kieruje się, przechodząc drogę główną z Kraśnika do Urzędowa, ku Bęczynowi. Drogą tą często przejeżdżały patrole, ale udało mu się przejść bezpiecznie do prywatnego lasu urzędowian. Tu już nie czując zagrożenia, dociera do domu z własnym karabinem. Zgłosił się do dowódcy plutonu Kedywu i został przyjęty, tak jak „Grzechotnik” wcześniej mu obiecał. Tadeusz składa przysięgę i przyjmuje pseudonim „Nagan”. Za jego przykładem przychodzą do oddziału rówieśnicy: Robert Surdacki ps. „Jurek”, Benedykt Surdacki, ps. „Cygan”, Jerzy Pawełczak ps. „Jur” z Popkowic. Pluton „Grzechotnika” rozrasta się. Kiedy sąd podziemny wydał wyrok na landwirta z Ratoszyna, kata ludzi cywilnych, placówki AK nie miały ochotników do wykonania tego wyroku. Niemiec był mocno strzeżony przez wojsko i specjalnie tresowanego psa. Kedyw „Grzechotnika” podjął się tego zadania. Na ochotnika zgłosili się „Jur” i „Nagan”. Odwiedzili dziewczynę, sprzątaczkę, z Ratoszyna, której zlecili zadanie, że umówionego dnia, o oznaczonej godzinie pozostawi otwarte drzwi kiedy wyniesie śmieci z pokoju Niemca. Partyzanci weszli do szwaba, pies chwycił „Jura” za rękę, w której trzymał pistolet. Niemiec sięgnął po swoją broń. Wtedy „Nagan” ugodził Niemca dwoma strzałami a trzecim psa. Po zabraniu Niemcowi munduru i broni partyzanci zniknęli.

Podobnych akcji pluton „Grzechotnika” wykonywał wiele. Przebrani w niemieckie mundury partyzanci weszli do pomieszczeń w Puławach, gdzie oficerowie niemieccy mieli konferencję. Krótka rozmowa partyzanta „Chińczyka” z Niemcami, jeden oficer wyczuł niebezpieczeństwo, odciągnął zamek swojego automatu, przygotowując się do strzału. „Nagan” to zauważył, zrobił to samo, skierował lufę w stronę Niemca i poczęstował go kulami. Zaczęła się strzelanina, partyzanci bez szkód wycofali się, a zdezorientowani Niemcy bili się między sobą. W niedługim czasie Tadeusz dostał do obsługi karabin maszynowy. Inną akcją była walka partyzantów „Grzechotnika” z żandarmerią niemiecką pod Puławami. Partyzanci otrzymali meldunek, że Niemcy będą jechać drogą między Puławami a Żyrzynom. Usadzili się przy szosie, czekając na niemiecki samochód. Kiedy nadjechał, wywiązała się ciężka walka, jako że w samochodzie był erkaemista. „Nagan” skierował pierwszą serię w motor, następnie w kierowcę i pasażerów. Niemiecka kula ugodziła Gabriela Gajewskiego ps. „Oset” – przetrąciła obojczyk i wyszła koło stawu biodrowego. Partyzanci zwyciężyli. Na palcu żandarma był złoty pierścionek ze swastyką. Oglądając go, partyzanci zauważyli na nim napis świadczący, że pierścionek zrobił złotnik, urzędnik Józef Buda. Ciężko rannego „Oseta” odesłano do Urzędowa.

14 lipca 1944 r. pluton „Grzechotnika” został wezwany do Kluczkowic koło Opola Lubelskiego w celu zlikwidowania niemieckiego posterunku. Otrzymali informację od placówki AK Kluczkowice, że podczas godziny obiadowej Niemcy są nieostrożni i można ich zaatakować. Placówka powiadomiła oddziały AK przez swojego łącznika. Pluton „Grzechotnika” zaatakował, ale okazało się, że Niemcy byli na to przygotowani. W niewidocznym bunkrze

osadzili karabin maszynowy i ugodzili seriami dwóch żołnierzy AK – dowódcę „Grzechotnika” i Tadeusza Malinowskiego ps. „Jacek”. Atak partyzantów zakończył się niepowodzeniem. Łącznik okazał się Niemcem i został zlikwidowany. Nie jestem w stanie opisać wszystkich walk Kedywu „Grzechotnika” z okupantami. Brat mój Tadeusz Gajewski ps. „Nagan” przez kolegów partyzantów uznany był za najdzielniejszego żołnierza plutonu. Podczas drugiej okupacji, komunistycznej, w mało znaczącej akcji z milicją w dniu 3 września 1944 r. został śmiertelnie raniony w głowę. Trzy dni potem zmarł. Pochowany jest na urzędowskim cmentarzu, razem z bratem Gabrielem ps. „Oset”, który zginął 6 grudnia 1945 r. od kuli UB.

Przestraszona handlarka

Drewniany stary dom Jana i Ludwiki Gajewskich w Bęczynie, blisko lasu Wolski Bór. Okupacja niemiecka. Od początku 1943 roku dom Gajewskich był koszarami i magazynem broni partyzantów Armii Krajowej, Kedywu „Grzechotnika”. W maju lub czerwcu 1943 r. do tego domu, do sieni, weszła obca, nieznana kobieta, lat około 40. Wzięła za klamkę drzwi, szarpnęła. Drzwi się otworzyły, a na jej nogi runęło głośno około 20 karabinów. Ja, będąc w kuchni, usłyszawszy rumor, wybiegłem do sieni, do której akurat weszła mama z wiaderkiem mleka po dojeniu krowy. Obca kobieta stała jak wryta, a mama krzyknęła „Po co to otworzyłaś?”. Kobieta wybiegła z domu. Ja natomiast pobiegłem do domu Marcina Ambrożkiewicza, zastałem tam domowników i kilku chłopców partyzantów, między nimi był mój brat Gabriel. Zdałem relację o wypadku. Partyzanci chwycili rowery stojące pod ścianą, brat wziął mnie na ramę roweru i popędziliśmy za kobietą. Kiedy ją dogoniliśmy, kobieta mocno płacze i głośno mówi: „Ja nic nie widziałam, ja nic nie widziałam”. Partyzanci wylegitymowali ją i dali warunek „Jeżeli choć jeden Niemiec w tych dniach nawiedzi nasz dom, to zginiesz ty i cała twoja rodzina”. Kobieta na kolanach przysięgała, że nic nikomu nie powie. Chłopcy ją zwolnili i nigdy już tej kobiety nie widziałem. Broń z naszego domu natychmiast została usunięta przez partyzantów. Niemcy nie przyszli. Mimo tego wypadku, dom nasz nie przestał być koszarami partyzantkimi i magazynem broni do końca życia moich braci. Do końca istnienia oddziałów partyzanckich AK-WiN dom pozostał punktem kontaktowym. Kiedy przez Bęczyn przechodził mjr Hieronim Dekutowski, zawsze wstąpił do naszego domu, uważając naszą rodzinę jakby za własną.

Chociaż wróg, ale człowiek

Lato 1943 roku, okupacja niemiecka. Drogą główną w Bęczynie podjeżdża samochód niemiecki, zatrzymuje się na wprost naszego domu. Ojciec mój, Jan Gajewski, przez okno zauważył Niemców kierujących się na podwórze, wybiegł z domu i pod pniak, na którym od lat rąbało się drewno, wsunął broń myśliwską. Ja siedziałem blisko pniaka, ale zagapiłem się na zbliżających się Niemców i nie zauważyłem, że kura swymi pazurami odkryła część broni.

Pierwszy szedł oficer niemiecki, za nim kilkunastu żołnierzy. Oficer zauważył odkrytą broń, usiadł na pniaku, nogami przykrył broń, a żołnierzom dał rozkaz robienia rewizji. Kiedy podwładni zameldowali dowódcy, że nic nie znaleźli, dał rozkaz odejścia i sam poszedł z tyłu za nimi. Choć okupant, ale człowiek!

Przyszła okupacja sowiecko-polska. Aresztowania żołnierzy Armii Krajowej, wywózka na Sybir. Sowiecka żandarmeria NKWD aresztuje ludzi według listy spisanej przez polski UB. Oficer NKWD mieszka w domu Zdybłów, w Rynku. Zdybłowie mieli córkę, do której przychodziła na tajne komplety nauczycielka Teodora Turkowska. Oficer sowiecki zauważył po co przychodzi i pewnego ranka, kiedy przyszła do Zdybłów, wyszedł do sieni i powiedział: „Ty nauczyciel i ja nauczyciel, uciekaj bo jesteś na liście na Sybir, ty i twoja siostra. Uciekaj, bo zaraz przyjdą po ciebie i aresztują”.

Todzia przybiegła do Ireny, a Irena zdecydowała się pójść z pytaniem czy jest na liście do wywózki do sąsiada, przedwojennego komunisty Juliana Chrzanowskiego, który w tym czasie był urzędnikiem w gminie. Kiedy ten potwierdził, obydwie siostry jeszcze tego samego dnia opuściły dom i zaczęły się ukrywać po znajomych, nawet w innych miejscowościach. Irena starała się być bliżej domu, bo pozostał w nim samotny ojciec, wdowiec. Todzia wyjechała do Żabiczek koło Łodzi i została tam dyrektorem szkoły rolniczej. Uczniami w szkole byli partyzanci, między innymi Bolesław Marianowski z Urzędowa. Uczniowie partyzanci mieli broń. W pobliżu Żabiczek mieszkał groźny ubowiec, którego chcieli zlikwidować. W strzelaninie został ranny Marianowski. Do Todzi przyjechała w tym czasie siostra Irena, zrozpaczona po śmierci narzeczonego Gabriela Gajewskiego ps. „Oset”. Ledwo pojawiła się w Żabiczkach w szkole rolniczej, już dostała polecenie od Todzi: „Uciekaj z rannym do Urzędowa”. Na dworcu kolejowym w Łodzi oczekują na pociąg, jakiś dobry człowiek ostrzega ich, że są obserwowani. Znikają między wagonami, dostają się do pociągu, chociaż ranny z trudem porusza się o własnych siłach. Z dworca kraśnickiego docierają szczęśliwie autobusem do Urzędowa. Kłopoty jednak długo nie opuszczają Ireny. Wychodzi za męża, za partyzanta J. Czuryłowskiego ps. „Zegar”. Jej koleżanką jest Hela Nabrzuchowska. Obydwie zapraszają na wesele kolegę szkolnego Sylwestra Jacniackiego. Podczas wesela koledzy Pana Młodego strzelają na wiwat. Przez nieostrożność partyzantów Jacniacki zostaje zabity. Jego rodzina obwinia o to nieszczęście Irenę. Dzięki Bogu, że byli jednak w tych trudnych czasach ludzie, nawet wrogowie, jak oficer niemiecki czy oficer NKWD, którzy pozwolili przeżyć, uchronić się od wywózki na Sybir czy do obozu niemieckiego zarówno Teodorze i Irenie Turkowskim, jak i innym ludziom.

Karabiny pod pługiem

Letni ranek 1944 roku, godzina około 3.00. Stukot do drzwi naszego domu. Tata otwiera, wchodzi partyzanci, moi obydwaj bracia, a za nimi sznur kolegów partyzantów Kedywu „Grzechotnika” Armii Krajowej, ogromnie zmęczeni, zdrożeni. Jak który może, kładą się nawet na

podłodze i śpią. Moja rola najmłodszego zaprzysiężonego „Grzechotnikowca” AK polegała na wartowaniu, obserwowaniu. Tego poranka miałem stanąć w swojej kryjówce na zewnątrz, między płotem a lipą i obserwować czy nie zbliży się jakieś zagrożenie.

Ranek coraz jaśniejszy i widzę małe samochody niemieckie pełne wojska. Zatrzymują się na drodze niedaleko naszych domostw. Niemcy wysiadają. Ja wpadam do domu i półgłosem krzyczę: „Niemcy”. Niezbyt szybko zerwali się partyzanci na nogi, chwycili każdy za swoją broń, a prawie każdy miał nowo zdobytą broń maszynową, automat pod nazwą MPi. Partyzant Tadeusz Malinowski „Jacek” chwycił broń maszynową, a zwykły karabin wręczył mnie i mówi: „Stasiu ukryj go”. Od naszego domu wiodła ścieżka niziną, lekko osłonięta drobnym laskiem, którą partyzanci sznurem udają się do lasu. Ja z karabinem „Jacka” biegnę za nimi i biegnie nas łącznie czterdziestu jeden. Widzę, że za grubą sosną stoi na nóżkach karabin maszynowy niemiecki LKM. Za tą sosną stoi żołnierz niemiecki. Wszyscy przebiegamy koło sosny i żołnierza niemieckiego (może 3 metry odległości). Okazało się, że niemiecki elkaemista chciał żyć, bo gdyby serią strzałów zabił nawet dziesięciu, to jedenasty partyzant zabiłby jego. W przeciągu dwóch, trzech minut zniknęliśmy w gęstwinie lasu. W lesie oddałem „Jackowi” jego karabin. Partyzanci z tej okazji jednogłośnie nazwali mnie prawdziwym partyzantem. Dostałem polecenie od dowództwa, żebym główną drogą, która łączyła wieś Natalin z Bęczynem poszedł na Bęczyn i zobaczył jaka tam jest sytuacja. Jestem już na skraju lasu Bęczyna i widzę, że jedzie nieznana mi furmanka konna. Na wozie siedzi nieco przechylony furman, przyglądam się, a to partyzant Piotr Smok ps. „Mars/Kucharz”. Na wozie, na słomie leży pług do orania ziemi. Furman lekko pomachując batem, popędza konie, żeby spieszniej szły. Furmanka jest już na skraju lasu, a za lasem pole. Słyszę niemiecki głos: „Halt” znaczy stój. Furman udaje, że nie słyszy, popędza mocniej konie. Słyszę: „Halt, Halt” i Niemcy biegną, aby zatrzymać furmankę. Furman zeskoczył z wozu i wbiega do lasu. Pada strzał, furman znika w gęstwinie. Niemcy zatrzymują konie i rewidują wóz. Spod pługa i ze słomy wyciągają kilka sztuk ręcznych karabinów. Śmieją się dość głośno. Zawracają końmi wóz i konie puszczają luzno, gdzie same pójdą. Konie poszły około 30 metrów i stanęły. Niemcy popędzają je dalej. Konie znowu poszły kilkanaście metrów i stanęły. Okazuje się, że są obce i nie wiedzą skąd przyszły. Niemcy zostawili konie i wóz z pługiem w spokoju, a sami przez kilka godzin szwendali się po części podłej Bęczyna i odjechali. Uważam, że może byli powiadomieni, że w Bęczynie są partyzanci, ale nie chcieli ryzykować, bo każdy żołnierz chciał przeżyć wojnę i wrócić do rodziny. Front niemiecko-rosyjski zbliżał się dużymi krokami. Niemcy woleli nie drażnić partyzantów, a ponieważ nic im się nie stało, to odjechali.

Konie z wozem partyzanci zdobyli od Niemców kilka dni wcześniej daleko od Urzędowa. Tym wozem przyjechali z okolic Puław, gdzie zdobyli w ciężkiej walce z Niemcami zarówno ten wóz, jak i dużą ilość broni maszynowej, przeważnie pistoletów MPi. Karabiny ręczne położyli na wozie, a broń maszynową wzięli ze sobą. Tej

nocy zdobytą furmanką dowódca „Grzechotnik” z „Maksem” wracając z walki pojechali na podwórze Stefana Wyrostka, bo tam mieszkał z żoną „Grzechotnik”. Podczas zagrożenia rano „Maks” wrzucił na wóz trochę słomy, żeby nakryć karabiny, następnie pług i ruszył w drogę udając, że jedzie w pole orać. Ja poszedłem do domu. Mama dała mi dużą kanapkę – chleb ze smalcem i litrową butelkę kawy z mlekiem. Wziąłem krowę na powrót i poszedłem z nią na pastwisko na łąki. Na tym pastwisku już był z krową Stasiek Oblewski (kolega). Łąka była na skraju lasu. Obydwaj z kolegą opowiadamy sobie o furmanie z karabinami. Zza gęstwiny lasu wychodzi partyzant „Maks/Kucharz”, który uciekł z wozu wioząc karabiny. Poczestowałem go kanapką i kawą. „Maks” wyjął zza pasa pistolet – siódemkę belgijską (piękna broń) i lornetkę. Obydwaj ze Staśkiem oglądaliśmy broń i lornetkę. Któryś z nas spojrzął na drogę wiodącą do wsi Terpentyna i zauważył kilkunastu żołnierzy w mundurach niemieckich. „Maks” przestraszony rzucił się do ucieczki, zostawiając broń i lornetkę. My ze Staśkiem poznajemy, że to partyzanci – moi dwaj bracia i inni przebrani w mundury niemieckie. Z dala widzimy znikającego „Maksa”. Ja podbiegam do brata Tadeusza ps. „Nagan”, chwytam jego karabin maszynowy, wznoszę go do góry i macham nim. Krzyknąłem: „Maks”! Ten stanął za grubym drzewem i patrzy. Nareszcie wraca. Partyzanci mieli duży ubaw z pozostawionej przez „Maksa” broni i lornetki.

Cud w Bęczynie

Urzędów, miejscowość bardzo patriotyczna, była źródłem żołnierzy AK pragnących wolnej Polski i walki z okupantem. Z powodu tak wielkiego patriotyzmu władze komunistyczne nosiły się z zamiarem wysiedlenia Urzędowa i wywiezienia mieszkańców w bardzo dalekie strony, pomieszczenia z ludźmi różnych poglądów. Władze komunistyczne w Polsce mściły się na rodzinach żołnierzy Armii Krajowej, likwidując ich domostwa. Żołnierzy AK-NSZ aresztowano, torturowano i skazywano na kary śmierci. Z tego powodu młodzież uciekała do lasów i tworzyły się oddziały partyzanckie pod nazwą „Wolność i Niezawisłość”. Komuniści ze swoich najgorszych zbirów tworzyli cywilne wojsko, dobrze uzbrojone i od strony lasu lub Moniak atakowali Bęczyn, szukając żołnierzy AK. Przeprowadzali szczegółowe rewizje w domach, budynkach gospodarczych, a nawet psich budach. Aresztowali niewinnych ludzi i zawozili do katowni UB w Kraśniku. Były domostwa przez nikogo nie podejrzewane o współpracę z partyzantami i tam często ukrywali się żołnierze AK. Jednym z takich gospodarstw był dom Franciszki i Józefa Gozdalskich. Dom był duży, drewniany, z wielkimi murami kuchennymi tworzącymi kuchnię, piec chlebowy i wielką framugę pełniącą rolę kominka. W kominku tym, zastawionym drewnami, mogły się ukryć dwie lub trzy osoby.

W majowy ranek 1945 r. od strony lasu Wolski Bór szło około setki osób cywilnego uzbrojonego wojska. Składało się ono z dworskich parobków, kryminalistów, wyrzutków kulturalnego społeczeństwa, bezwzględnych w swoim postępowaniu. Szedłem do szkoły, chodząc

wtedy do siódmej klasy. Około 200 metrów przed sobą zobaczyłem obławę, bliżej około 70 metrów przed sobą zobaczyłem Franciszkę Gozdalską, stojącą przed swoim domem i przytulającą dziecko. Kobieta mało widocznym gestem zaprasza mnie do siebie. Podszedłem do niej, a Gozdalska ściszym głosem mówi: „Wejź do mojego domu, ale nigdzie nie otwieraj, tylko głośno wymień swoje imię i nazwisko”. Wszedłem i zrobiłem co mi powiedziała. Uchyliły się drzwi największej izby i oczom nie wierzę. Stoi 11 partyzantów AK, a wśród nich mój brat Gabriel „Oset”, wszyscy z bronią maszynową, gotowi do strzałów. Wszedłem do nich mówiąc, że UB jest w odległości około 200 metrów. Po chwili weszła i Gozdalska. Zaczęły się opowiadania o rewizji, która niedawno miała miejsce w domu. Gozdalska mówi: „Jak wpadła do domu ta dzika szarańcza, to ja spodziewając się wybuchu walki i ognia wzięłam dziecko i wyszłam byle dalej od domu”. Partyzanci mówią: „Odbezpieczyliśmy broń, trzęsąc się z nerwów czekaliśmy stojąc przy drzwiach kiedy otworzą się drzwi tej izby. Od tupania po strychu z sufitu sypało się wapno. Wokół domu słuchać było tupot. Przez zasłonięte od wewnątrz firanki nie było widać co dzieje się na dworze. Z sąsiednich izb dobiegały przekleństwa, bluźnierstwa, loskot tłukących się obrazów. Wreszcie poszli”.

Skrycie się we framudze-kominku 11 partyzantów nie było możliwe. Czy nie był to cud w Bęczynie, że uratowali wtedy życie?

Krwawe ślady matki trzech synów akowców zwanych bandytami

12 lipca 1945 r. raniutko, o świcie wojsko polskie KBW w ilości około 100 żołnierzy zaatakowało pluton żołnierzy „Zapory” w Bęczynie. Stukot karabinów maszynowych obudził mieszkańców oraz matkę trzech synów, żołnierzy AK, Ludwikę Gajewską żonę Jana. Zerwała się z łóżka, lecz nie udało jej się schronić, gdyż napadł na nią oficer KBW kapitan Pokrzywa z wieloma swoimi żołnierzami. Kobieta była w koszuli nocnej i boso. Kapitan Pokrzywa ubliżając bił ją pistoletem, raniąc jej głowę i całe ciało. Aresztowali tę kobietę w koszuli i boso wraz z innymi mieszkańcami Bęczyna.

W strzelaninie jeden „Zaporczyk” został zabity, dwóch zostało ciężko rannych w brzuch, a trzech mocno pobitych. Strzelanina ucichła. Pokrzywa polecił podwładnym spędzić tu ludzi, a sam wszedł na platformę samochodu i krzyżąc, ubliżał zebranych słowami: „Otumaniony narodzie Bęczyna”. Lęk rannych i pobitych oraz szloch zebranych ogłuszały jego obelgi. Do samochodu wrzucono zabitego oraz rannych, wepchnięto pobitych „Zaporczyków”, a także aresztowanych mieszkańców i moją kochaną mamę zakrwawioną, w koszuli i boso. Rannych zawieziono do szpitala, a aresztowanych do katowni UB w Kraśniku. Matkę synów bandytów AK wieczorem przesłuchiwał kapitan Pokrzywa. Do pomieszczenia, w którym ją przesłuchiowano wszedł furman, który usługiwał ubowcom, mówiąc, że jedzie furmanką konną do Urzędowa, może tę kobietę zabrać. Dobry Polak kapitan Pokrzywa odpowiada: „Ona pójdzie pieszo, nie jest godna aby ją wozić”. Po około godzinie 22 zwolnili aresztowa-

na pokrwawioną matkę trzech synów, bandytów z AK, Ludwikę Gajewską. Mama nie miała gdzie przemocować w Kraśniku, więc poszła pieszo do Bęczyna kamienistą drogą, raniąc co krok bose nogi.

Wówczas nie było asfaltowych dróg, a jedynie kamienie – tak zwane kocie łby. Raniąc nogi zostawiała krwawe ślady. Szła tak całą noc wystraszona, zziębnięta i obolała, podczas drogi często spoczywała, gdyż była zmęczona. Gdy doszła do Urzędowa wschodziło słońce. Ledwo idąc do Bęczyna, do własnego domu spotkała jedną z mieszkańek Bęczyna, starszą panią Celinę Bystrzyńską. Celina była przerażona widokiem pokrwawionej, bosej, w samej koszuli, ledwo trzymającej się na nogach żony Jana Gajewskiego. Zapytała: „Janowa, skąd Janowa idzie?”. Zaprosiła ledwo żywą moją kochaną mamę do mieszkania, poczęstowała herbatą i obydwie zanosiły się płaczem. Biedna, samotna pani Celina wyjęła lnianą koszulę, przemyła pokrwawione ciało i stopy, a pokrwawioną koszulę wrzuciła do prania. Mama wróciła do swojego domu, ujrzała w nim dużo potłuczonego szkła z obrazów i lustra, połamane łóżka i stół. Kuchnia rozerwana granatem, oberwane drzwi. Tak wojsko polskie budowało wolność Polski Ludowej.

Prawdopodobnie kapitan Pokrzywa wywodził się z wsi komunistycznych, gdzie za okupacji niemieckiej działał oddział Polskiej Partii Robotniczej pod dowództwem „Cienia”. Z tych miejscowości wywodził się urzędnicy bezpieczeństwa i władza Polski Ludowej.

Najbezpieczniejsza kwatera partyzancka

Feliks Surdacki ze swoją żoną Marianną wydali na świat sześć córek i trzech synów. Najstarszy syn Aleksander razem z siostrą gospodarzyli na przedmieściu Mikuszewskim. Młodszy brat Kwiryn od najmłodszych lat interesował się dziką zwierzyną i był myśliwym. Urodził się 30 marca 1921 r. w Urzędowie. Najmłodszy Leonard urodził się 2 maja 1928 r. Ledwo dorósł, już rozpoczął się ruch partyzancki. Leonek wstąpił do żandarmerii partyzanckiej „Kedyw” pod dowództwem Mieczysława Cieszkowskiego „Grzechotnik” w Urzędowie. Złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Korzonek”. Jako młody, niedoświadczony żołnierz przyjął funkcję amunicyjnego przy erkaemiście Tadeuszu Gajewskim ps. „Nagan”. Brał udział w wielu akcjach bojowych przeciwko okupantowi niemieckiemu.

Dom Feliksa Surdackiego stał głęboko w lesie. Za okupacji niemieckiej, już w 1941 roku nawiedzali ten dom nieznajomi Polacy z bronią. Bracia Kwiryn i Leon zaczęli interesować się tymi sprawami. Kwiryn wstąpił do placówki Związku Walki Zbrojnej pod dowództwem por. Hipolita Cieszkowskiego ps. „Odyniec”, złożył przysięgę i przyjął pseudonim „Dzik”. Cieszkowski był dowódcą Rejonu I ZWZ-AK na terenie powiatu kraśnickiego i organizował placówki do pospolitego uderzenia na wroga.

Przyszła okupacja sowiecko-komunistyczna, żołnierze AK ukrywali się. Kwiryn zapoznał piękną Irenkę Tomczyk z Chruślanek, w której się zakochał i 3 maja 1947 r. wzięli ślub w bobowskim kościele. Przyjęcie weselne

odbyło się w domu Irenki, który był dość mały. Miałem przyjemność wraz z innymi partyzantami uczestniczyć w tym wydarzeniu. Podczas trwania wesela do izby, w której siedzieli goście, Olek Gajewski ps. „Chopek” wjechał koniem.

Kwiryn ukrywał się, gdzie mógł. Zwykle bywał w Popkowicach w browarze na piwie. Pewnego dnia, będąc tam, jakiś agent powiadomił UB. Ubowcy wiedząc, że wieczorem będzie szedł do Urzędowa, zrobili na niego zasadzkę w ogródku Dziurdów przy drodze głównej. Przy płocie ogródka gęsto rosła leszczyna. Kwiryn „Dzik” późnym wieczorem szedł z Popkowic do Urzędowa. Z oddali dostrzegł czerwoną iskrę, był to papieros. Przy sobie zawsze miał dwa pistolety, więc rozpiął płaszcz, udaje mocno pijanego: chwieje się i mamrocze, klnie i szuka zapalek, chcąc zapalić papierosa. W najgroźniejszym miejscu zatrzymuje się i usilnie poszukuje zapalek. Zauważył postać wśród leszczyny. Podchodzi i pyta: „Może mosz zapołki, to zapolimy?”. Zdenerwowana osoba odpowiada: „Spier...”. Kwiryn posłusznie odchodzi mocno chwiejnym krokiem.

Mijają miesiące, okupacja sowiecko-komunistyczna szaleje, prześladowając żołnierzy Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. Władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zajęły się prześladowaniem akowców, podczas gdy rzekomo nie mają czasu zająć się nielegalnym wyrębem lasów państwowych przez złodziei. Zbliża się zima 1946 r., ludzie rzucili się do zwożenia drewna na zimę. Nadleśnictwo Państwowe w Dzierzkowicach zwraca się do dowództwa partyzanckiego o pomoc w przeciwdziałaniu tej gwałtownej wycince drzew. Nie pamiętam daty, kiedy czterech żołnierzy AK stanęło na drodze do lasu i zabraniają wjazdu do niego, a kto chce wyjechać z drewnem, kierują do biednych wdów lub staruszków, aby je tam zrzucili. Do tej akcji przystąpili Kwiryn Surdacki, nie znany mi Romek, Edward Komaszko i Zygmunt Chudzicki. Drewno wiezie brat Kwiryna Aleksander. Kwiryn daje bratu rozkaz, aby zrzucił je u jednej z wdów – Julii Bystrzyńskiej. Ten szanuje słowa brata i z pustym wozem wraca do domu. Wielu różnych furmanów postępuje podobnie. Stanisław W. wywozi z lasu drewno opałowe grube, partyzanci nie pozwalają mu jechać dalej, więc ten niewiele myśląc zostawia furmankę i biegnie po brata partyzanta. Jego brat Kostek przybiega z krótką bronią po wóz z drewnem. Kwiryn próbuje załatwić sprawę po koleżeńsku: rozmowy, prośby, perswazje, później dochodzi do awantury. Udowadnia, że jego brat również pojechał z pustym wozem do domu. Intruz nie ulega i niewiele brakuje, a doszłoby do tragedii. Brat Stanisława jako partyzant zamiast pomóc kolegom, doprowadził do awantury. W wyniku kłótni pomiędzy mężczyznami, partyzanci zrezygnowali z dalszej działalności ochrony lasu. Partyzant Edward Komaszko został napadnięty przez Kostka, który wymachiwał bronią nad Komaszką, czyniąc ponowną awanturę, w której przypadkowo sam postrzelił się w nogi.

Jak wspominałem wcześniej, dom Leona i Kwiryna stał głęboko w lesie. Wojsko ubowskie niemal w każdą noc czatowało tam na partyzantów. Przyszedł rok 1947, fałszywa amnestia. Obydwaj bracia Surdaccy ujawnili

się, czyli zdali broń. Podczas ujawniania się ubowcy w dowód wdzięczności, niby po koleżeńsku zapraszają na alkoholowy poczęstunek akowców: Leona Surdackiego, Jana Surdackiego (syna Władysława), Józefa Ciępiela i Władysława Sobczyka. Akowcy niezbyt cieszyli się tym towarzystwem i po większym upojeniu wyrażali się obraźliwie o ubowcach. Za parę dni akowcy ci zostali aresztowani i osadzeni w kraśnickim UB. Pobici i zastraszeni czekali na wywóz do innych więzień. Podczas głębokiej nocy wartownicy mocno zasnęli i akowcy uciekli. Natychmiast rozpoczęto ściganie ich. Ubowcy rozwiesili plakaty listów gończych z wysokimi nagrodami za ich wydanie. Akowcy ukrywali się do 9 lipca 1948 r. Ukrytych na strychu obory Władysława Chruścielewskiego czterech partyzantów zauważyła sąsiadka i powiadomiła UB. Grupa kilkudziesięciu zbirów ubowskich okrążyła oborę i wszyscy partyzanci ponieśli śmierć, a ich ciała zakopano w nieznanym miejscu.

Po śmierci wyżej wymienionych partyzantów, UB ponownie zaczęło ścigać Kwiryna. Jego żona Irena, jako

że miała rodzinę we Wrocławiu, pojechała tam. Podczas pobytu u rodziny opowiadała o ukrywającym się mężu. Kuzyn Irenki był funkcjonariuszem UB we Wrocławiu. Na wielką prośbę Ireny razem przyjechali do jej domu w Chruślankach. Wieczorem przyszedł Kwiryn uzbrojony w dwa pistolety. Irena zapoznała mężczyznę ze sobą, nie mówiąc kim ów kuzyn jest. Po długiej rozmowie, dobrze zakropionej alkoholem, mężczyzna przyznał się kim jest i po co przyjechał. Zaskoczony Kwiryn sięgnął po broń. Bardzo kochał swoją żonę, więc uwierzył jej, że ów ubowiec będzie przyjacielem i „aniołem stróżem”. Kwiryn pod opieką ubowca pojechał do Wrocławia, pod innym nazwiskiem podjął pracę w stolarni i w ten sposób przeżył czasy największego zagrożenia. Wrócił do żony. Po niedługim czasie od powrotu męża do domu, kochana żona Irenka zmarła, zostawiając 3 dzieci.

Kwiryn jeszcze w pełni sił ożenił się ponownie z wdową Janiną Płechą z domu Rudzińska. Przeżywszy lat 67 Kwiryn zmarł 2 stycznia 1988 r. Został pochowany na urzędowskim cmentarzu.

Edmund Mazik

Przedmieście Góry zachowane w mojej pamięci

Przedmieście Góry ciągnie się na wschód od przedmieścia Rankowskiego do granicy ze Skorczycami. Nazwa pochodzi od pasma najwyższych wzniesień występujących w Urzędowie, ciągnących się na całej długości przedmieścia. Zabudowa Gór w latach 40. i 50. ubiegłego wieku to przeważnie domy drewniane, usytuowane na szczycie góry lub u jej podnóża. Domy przeważnie miały dachy kryte słomą, czterospadowe. Te, które miały dachy dwuspadowe kryte były także gontem. Typowy dom na przedmieściu miał dużą izbę, małą izbę z kuchnią, alkierz i sien z dwoma wejściami. Jedno z wejść prowadziło do połączonej z domem obórki, gdzie hodowano świnię i drób, paszę dla zwierząt przyrządzano w sieni. W niektórych domach nie było podłogi z desek tylko klepisko. W dużej izbie znajdowała się kuchnia i piec do wypieku chleba. Gospodyni wstawiała najwcześniej, musiała rozpalić ogień pod kuchnią, żeby rano ugotować ziemniaki w saganie dla świń oraz barszcz z kiszzonej kapusty dla domowników na śniadanie. Dodatkowo do barszczu był kawałek słoniny i okraszone ziemniaki. Żeby mieć świeży chleb, zwyczajowo pożyczano go od sąsiadów, chleb ważyło się kantarkiem albo pożyczano i oddawano na tzw. oko.

Oprócz połączonej z domem obórki w gospodarstwie była obora. Składała się ona ze stojących w poprzek działki chlewa dla koni i krów, stodoły, a także podwozówki, usytuowanej wzdłuż posesji. Na podwozówce przechowywano narzędzia rolnicze i wozy. W środku obory był gnojownik, z boku, pod stodołą, składowano słomę po

omłotach. Za stodołą znajdował się kierat, napędzany siłą konia.

Za zabudowaniami, w kierunku północnym, na długości ok. 6 km ciągnęły się pola uprawne, aż do granicy z Ratoszynom, Radlinem i Ludwinowem. Jediną drogą prowadzącą w pole był wygon położony na środku Gór. Na jego początku stała figura postawiona w 1905 roku. Po obu stronach wygonu były działki ziemi ornej należące do gminy, wydzierżawiane gospodarzom. Oprócz wygonu były drogi poprzeczne, pierwsza za stodołami nazywała się Dróżka, dalej w prawo od drogi głównej był Równy Wygon, przy której to drodze była usypana mogiła z czasów I wojny światowej. Następną drogą był Gościniec Lubelski, trakt prowadzący do Lublina. Dalej na północ była droga przez Wierzbicki Dół, dalej droga o nazwie Nizina, następnie Średni Dół i Smugi. Ostatnią drogą była granica pomiędzy polami urzędowskimi a Radlinem, Ludwinowem i Ratoszynom. Na Górach mieli także pola gospodarze z innych przedmieść: Goliński, Łukasiewicz, Jagiełło z Wodnej, Rolla i Michał Jagiełło z Mikuszewskiego.

Na polach siano zboża, przeważnie paszowe, jak owies, jęczmień, koniczynę, seradełę, a także żyto, pszenicę, proso, grykę (tatarkę). Uprawiano len i konopie, z włókien których wyrabiano prześcieradła, koszule, kalesony. Zarówno len, jak i konopie wymagały dobrze uprawionej i nawożonej gleby. Len wyrastał niezbyt wysoki, był ręcznie plewiony od chwastów. Konopie były roślinami

wyższymi. Zbiór tych roślin polegał na ręcznym wyrywaniu i suszeniu na słońcu, następnie mlóceniu cepami. Ziarno wykorzystywano do tłoczenia oleju w domowych olejarniach. Łodygi roszone na rosie lub w rzece, po rozsznieniu suszono. Robiono to w ten sposób, że w wykopanym dole rozpalano palenisko, na jego górze rozkładano len lub konopie celem podsuszenia. Obok stały miedlarki, na których gospodynie oddzielały włókna od paździerzy. Po miedleniu, na kołowrotkach lub wrzecionach z lnu



Dawne zabudowania gospodarskie z przedmieścia Góry

i konopi powstawały nici. Po tych operacjach robiono „motki” i dawano półfabrykat do warsztatu tkackiego, gdzie wyrabiano płótno zgrzebne lub lniane.

Latem codzienne pasienie krów, rano i wieczorem, było zajęciem dzieci. W niedziele dzieciom dawano wolne, zastępowane wtedy były przeważnie przez ojca rodziny.

Wzdłuż Gór biegnie droga, zwana ulicą, do centrum Urzędowa. Nie była ona utwardzona, w czasie opadów zamieniała się w ogromne błoto. Każdego roku, wiosną, remontowano ją tzw. szarwarkiem, w zamian za to gmina umarzała część podatku. Do naprawy wykorzystywano drzewa rosnące przy drodze, przeważnie wierzby i topole, a także wożono kamień z dolów przy wygonie. Wzdłuż ulicy płynęła nieuregulowana rzeka Urzędówka. Służyła do pojenia inwentarza, prania i kąpieli. Wiosną, po śnieżnej zimie, rzeka rozlewała się na drogę i łąki, podchodziła do progów niektórych zabudowań.

Na początku Gór, od strony wschodniej, przy rzece Urzędówce stał młyn należący do dworu skorczyckiego, ze stawem i turbiną. Gospodarzem młyna był pan Czuryłowski, który mełł zboże na chleb, a także osypkę dla zwierząt. Światło elektryczne pojawiło się w latach 40. XX wieku. Prekursorem i wykonawcą był inż. Tadeusz Wośko, który pochodził z tego przedmieścia. Na górach była jedna kuźnia należąca do Tadeusza Mazika, warsztat tkacki Antoniego Wośko oraz mieszkał tu kopacz studni Bukowski. Garnki natomiast remontował Jan Piotrowski. Od lat 50. wielu mieszkańców Gór, szczególnie młodzież, znalazło zatrudnienie w kraśnickiej fabryce, prawie z każdego domu ktoś tam pracował.

Czas wypełniała nie tylko praca. Ludzie byli bardzo religijni. W niedziele masowo chodzili do kościoła, w Boże Narodzenie na pasterkę, w Wielkanoc na rezurekcję. W miesiącu maju, przy krzyżu na wygonie, codziennie była odprawiana majówka z licznym udziałem dzieci i osób starszych. Parafianie z Ludwinowa, Łopiennika, Majdanu Radlińskiego i Zakęcia przybywali do kościoła furmankami, zimą saniami, niekiedy urządzając wyścigi zaprzęgów. Często korzystali z twardej drogi biegnącej przedmieściem Zakościelnym. Mieszkańcy Gór brali liczny udział w pogrzebach sąsiadów. Pogrzeb trwał dwa dni, pierwszego dnia po południu była eksportacja zmarłego z domu do kościoła. Trumna ze zmarłym całą drogę niesiona była na ramionach uczestników pogrzebu, którzy zmieniali się co 50–100 metrów. W tej eksportacji uczestniczył także ksiądz. Następnego dnia była msza pogrzebowa w kościele, po której kondukt pogrzebowy wyruszał na cmentarz, trumna także była niesiona całą drogę przez uczestników pogrzebu. Krzyż i chorągwie noszone były przez starszych mężczyzn. Groby były przeważnie ziemne, nie murowane.

Radośniejszym wydarzeniem w życiu były śluby i następujące po nich wesela. Latem odbywały się na umajonych brzoźkach podwórkach, czasem w stodolach, zimą w domach. Grała zwykle orkiestra dęta. W pamięci zapisali się muzykanci, tacy jak Zygmunt Krasiński grający na akordeonie, Ciempiel na skrzypcach, Józef Rzepecki, orkiestra Wnuków z Leszczyny. Goście dawali drobne prezenty, takie jak koszule czy zastawa stołowa, nie było zwyczaju dawania pieniędzy. Przed weselem kobiety przynosiły jajka, sery i inne produkty ze swoich gospodarstw, a potem wspólnie przygotowywały wędliny i ciasto oraz obsługiwały gości.

Rok 1970 przyniósł likwidację tradycyjnej struktury pól z wąskimi zagonami, zwanymi kielbasami, półkwartkami czy ćwiartkami, wzdłuż których biegnęły długie na kilometry miedze. Zlikwidowano dawne drogi służące do dojazdu na pola. Komasaacja umożliwiła zastosowanie maszyn. W latach 70. rozwijały się Kółka Rolnicze, przybywało traktorów i innych maszyn rolniczych. Nastąpiły zmiany stylu życia. Tylko w pamięci najstarszych pozostały czasy sprzed kilkudziesięciu lat.

Jerzy Kowalewski

Mój Urzędów. Mój ukochany Bęczyn. Wspomnienia lat sześćdziesiątych XX wieku

Czasy, które minęły, przeszły i już nie wrócą. Czasy wielkiego spokoju w społeczności Urzędowa, wzajemnej życzliwości, serdeczności i szacunku. Urzędów lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, miał swój folklor, swoją kulturę i obyczaje. Posiadał lokalne biznesy, zlokalizowane najczęściej w rynku, na obrzeżach miasta, jak również na przedmieściach. Dobrze prosperowała w owym czasie spółdzielnia krawiecka, znajdująca się w domu państwa Mazurków, vis-à-vis restauracji państwa Wójtowiczów. Kierownikiem spółdzielni był pan Józef Kowalewski. Jadąc w kierunku rynku, na jego zachodniej stronie, znajdował się sklepik państwa Wośków. Dalej był zakład fotograficzny pana Kaczmarskiego. Świadczył on usługi upamiętniające wesela, komunie, chrzty i inne wydarzenia o charakterze rozrywkowym i nie tylko.

W następnej kamienicy na stronie zachodniej rynku mieściła się gospoda, z doskonałą kuchnią i wspaniałym piwem, prosto z beczki. Tu spotykali się koledzy i znajomi, a spotkania te miały zawsze bardzo „ciepły” charakter i sprzyjały wzajemnym dyskusjom i wymianie poglądów. Ogromnie miłą obsługę czyniła, będąca za bufetem pani Wanda Grzybek – zawsze uśmiechnięta, emanowała wielką serdecznością i życzliwością dla swoich klientów. W kolejnym budynku, należącym do państwa Zielińskich, znajdowała się klubo-kawiarnia. Tu, wieczorami, spotykała się młodzież. Grupy młodych ludzi, przy kawie, prowadziły dyskusję o teraźniejszości i przyszłości, problemach dnia codziennego, jak i wielu innych sprawach, które w owym czasie nurtowały młodzież. Nad całością, niekiedy bardzo burzliwych dyskusji, czuwała prowadząca kawiarnię, młoda, piękna dziewczyna – Urszula Zielińska.

Na południowym rogu strony zachodniej rynku, fryzjer, pan Zenek, nożyczkami przycinał, często najeżone czupryny swoich klientów.

W głębi ulicy, prowadzącej do Kraśnika, pan Winiarski prowadził sklep wapienno-farbiarski. Mieszkańcy Urzędowa i wszystkich przedmieść, dbali o wygląd swoich domów, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, dlatego farby i wapno cieszyły się dużym wzięciem, zwłaszcza w okresie wiosennym.

Na południowej ścianie rynku usytuowany był Bank Spółdzielczy, który zasoby finansowe mieszkańców Urzędowa bezpiecznie przechowywał. Przy chodniku, biegnącym w kierunku kościoła, stał kiosk ruchu, który prowadziła bardzo sympatyczna i miła pani Wośkowska. Dbała, aby codzienna prasa trafiała do rąk czytelnika.

W głębi ulicy stał i nadal stoi kościół parafialny. W każdą niedzielę i każde święto tłumy wiernych gromadziły się w kościele. Proboszczowie posługujący w parafii urzędowskiej odznaczali się wielką gospodarnością i dbałością o miejscową świątynię. Dbali również o miejsce pochówku

parafian. Cmentarz był zawsze utrzymany w należytym porządku i ładzie.

Wschodnia strona rynku to budynek Gminnej Spółdzielni, z biurami na górze i sklepami na dole. Obok – w budynku pana Wiącka, znajdowała się apteka, z bardzo fachową obsługą w zakresie farmaceutycznym. Za apteką, w murowanym budynku, mieścił się Urząd Gminy Urzędów. W tym samym budynku, na parterze, rezydowała Milicja Obywatelska, której zadaniem była dbałość o spokój na terenie całej gminy.

Na końcu ściany wschodniej rynku zlokalizowana była piwiarnia państwa Prokopiaków. Właściciele – pani Sabcia i pan Stanisław, z wielką cierpliwością i zrozumieniem obsługiwali klientów. Była to para cudownych ludzi, o niesłychanej dobroci i życzliwości dla każdego człowieka.

Stronę północną rynku otwierał zakład dbający o oświetlenie Urzędowa i okolic, z kierownikiem panem Dzikowskim.

W kolejnym domu ściany północnej, poczta świadczyła swoje usługi. Listonosze byli świetnie zorganizowaną grupą prawdziwych profesjonalistów. Przesyłki i listy zawsze były dostarczane na czas do adresata, bez względu na pogodę. Należy zaznaczyć, że w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku tylko w niewielkim procencie drogi były utwardzone. W przypadku deszczu, do niektórych domostw trudno było dotrzeć, mimo to urzędowscy listonosze zawsze docierali z przesyłką we właściwym terminie.

Na terenie swojej posiadłości, za pocztą, pan Jan Stec prowadził warsztat reperacji rowerów i innych urządzeń mechanicznych. Właściciel warsztatu był nieocenionym mistrzem i znawcą zawodu, który wykonywał – „złota rączka” i wielki profesjonalista w branży mechanicznej. Ponadto był wielce życzliwym i uczynnym człowiekiem.

Na końcu ściany północnej rynku, mieszkali państwo Szakowscy i państwo Bąkowie. Pan Julian Bąk, z ramienia zakładu energetycznego, w Urzędowie i na przedmieściach zajmował się kontrolą poboru mocy elektrycznej. Pan Julian był człowiekiem o wielkiej kulturze osobistej, bardzo życzliwym, uczynnym i bardzo oddanym zawodowi, w którym się realizował.

Skracając w drogę prowadzącą do Chodla, po prawej stronie państwo Wójtowicz mieli swoją restaurację. Właścicielka – pani Lucia Wójtowicz, serwowała smakowite lody, według własnej receptury. Smak lodów zachwycał największych koneserów tego zimnego deseru. Restauracja serwowała również znakomite piwo, oczywiście prosto z beczki.

Dom Ludowy usytuowany był za kościołem, przy drodze prowadzącej do Popkowic. Swoją kubaturą służył mieszkańcom miasta i okolic. Na parterze – ogromna

sala, jak na ówczesne czasy. W niej, dwa razy w tygodniu, odbywały się projekcje filmowe. Kierownikiem kina był pan Kwiryn Sabeł. Operatorem, odpowiedzialnym za stan techniczny projekcji – Henryk Chudzicki. W tej samej sali odbywały się wszystkie uroczystości zbiorowe, włącznie z zabawami tanecznymi. Organizatorem zabaw była straż pożarna i koło sportowe LZS „Orzeł” Urzędów. Do tańca najczęściej przygrywała orkiestra pana Mozgawy. Był to kwartet – dwa saksofony, perkusja i instrumenty klawiszowe. Zespół muzyczny uczestników zabaw wprowadzał w inny świat – świat marzeń, wspomnień i cudownych doznań o zabarwieniu bardzo sentymentalnym. Zabawy były rajem dla duszy i serca.



Autor wspomnień – Jerzy Kowalewski

Pierwsze piętro Domu Ludowego zajmował ośrodek zdrowia. Lekarze i pielęgniarki bardzo dbali o zdrowie swoich pacjentów. Pod ośrodkiem, na parterze, swoje lokum miała biblioteka publiczna. Nad całością prawidłowego jej funkcjonowania czuwała pani Stasia Gozdalska – bardzo cierpliwa, wyrozumiała i zawsze służąca fachowym doradztwem w kwestii wyboru książki. Była to osoba o niezwykle ciepłym i serdecznym usposobieniu. Dlatego lubiący czytać bardzo często korzystali z usług biblioteki.

Pod Domem Ludowym, znajdowała się łaźnia miejska. W każdą sobotę była oblegana przez młodzież. Sobota tradycyjnie była dniem spotkań młodych ludzi płci przeciwnej. Obie strony dbały o higienę i prześcigały się w wynalazkach mydlano-szamponowych – każdy chciał być pachnący i świeży. Łaźnia miejska odgrywała bardzo ważną rolę w kwestii edukacji higieny ciała, a może i ducha.

W sąsiedztwie Domu Ludowego usytuowana była rzeźnia miejska. Świeże wyroby wędliniarskie, o wybornym smaku i zapachu, trafiały bezpośrednio do miejscowych sklepów.

Za rzeźnią znajdowała się piekarnia. Pan Siekaczyński z załogą piekarzy wypiekali chleb i bułki o takim smaku i aromacie, że kto raz spróbował tych rarytasów zbożowych, zaglądał do piekarni codziennie. Do wypieku pieczywa używano drewna liściastego z odpowiednich

gatunków drzew, które nadawało właściwy smak i zapach produkcji piekarniczej.

Za piekarnią, na skarpie, stał budynek mleczarni. Masła, sery, jogurty i oczywiście wspaniale świeże mleko, na potrzeby mieszkańców Urzędowa codziennie produkowała. Nad całością produkcji czuwał kierownik mleczarni, pan Motyka. Trzeba podkreślić, że mleko dostarczane do przerobu było surowcem o najwyższej jakości. Miało bardzo wysoką zawartość tłuszczu, co przekładało się na wspaniały smak wyrobów, produkowanych z tego tłustego rarytasu.

W latach sześćdziesiątych, lokalną oświatę krzewili i wdrażali w życie nauczyciele, pracujący w urzędowskiej szkole pod kierownictwem wspaniałego człowieka i pedagoga, pana Stefana Pejmeła. Nauczyciele z tamtych lat, to między innymi: Helena Bogusławska, Teresa Wałęcik, Janina Dudek, Maria Krzyściakowa, Wanda Szajna, Piotr Trojanowski, Tadeusz Kuśmiderski, Edward Delekta, Stanisław Wałęcik, Jan Krupka.

Wszyscy starali się reprezentować jak najwyższy poziom nauczania. Lekcje religii odbywały się w sali na plebanii, pod kierunkiem księdza Tujaki.

Również ówczesny ośrodek gminny prężnie włączał się w krzewienie kultury na terenie Urzędowa.

Miejscowy kościół odgrywał bardzo ważną rolę w kształtowaniu właściwego charakteru i osobowości swoich parafian.

Nie można pominąć w opisie Urzędowa pana Witolda Przysuchy, który prowadził zakład reperacji rowerów. Był on człowiekiem dokładnym i niezwykle uzdolnionym w temacie reperacji „jednoślądów”. Potrafił rozbity rower zrekonstruować tak dokładnie i precyzyjnie, że nikt nie zauważył wcześniejszych defektów.

Przy drodze prowadzącej do Kraśnika znajdował się zakład reperacji pojazdów samochodowych i motocykli. Właściciel – pan Jan Stec, zajmował się reperacją i tworzeniem sprzętu napędzanego silnikami benzynowymi. Pan Jan był wspaniałym mózgiem rodzącej się po wojnie polskiej motoryzacji.

Wstawianiem szyb okiennych i wystawowych na terenie gminy zajmował się warsztat szklarski, który prowadził pan Kazimierz Śliwa.

Reperację obuwia, jak również produkcję nowego, prowadził zakład szewski, w którym pracował wspaniały człowiek i świetny fachowiec – pan Józef Paszkowski.

Należy również wspomnieć o zakładzie zegarmistrzowsko-jubilerskim pana Budy na ulicy Wodnej. W tamtych latach z wielką dokładnością i precyzją tworzył piękne obrączki i pierścionki dla nowożeńców, a także zajmował się, ze świetnym skutkiem, reperacją zegarów i zegarków.

Na końcu ulicy Wodnej znajdował się cmentarz parafialny. Był on miejscem spoczynku parafian. Znajdowały się tam również groby żołnierzy i partyzantów, walczących o wolność i niepodległość Polski. Cmentarz był, i nadal jest miejscem wiecznego spoczynku tych, którzy odeszli do Stwórcy, do naszego Boga.

Za cmentarzem, przy lesie, znajdowała się, stojąca do dziś, kapliczka Świętej Otylii – miejsce kultu religijnego mieszkańców Urzędowa. W czwartek wielkanocny, nocą, urzędowanie odwiedzają św. Otylię i czerpią wodę ze źró-

delka, znajdującego się pod kapliczką. Jak wieść niesie, woda ma cudowną moc leczniczą. Od pokoleń, taka jest tradycja urzędowskich ludzi.

W latach sześćdziesiątych XX wieku usportowiona młodzież Urzędowa skupiała się w klubie sportowym „Orzeł”. Największym zainteresowaniem cieszyła się piłka nożna. Urzędowscy piłkarze grali w klasie „B” ówczesnego podziału, ustanowionego i zatwierdzonego przez Polski Związek Piłki Nożnej. Treningi odbywały się najczęściej na świeżym powietrzu. Filarami zespołu piłkarskiego byli: bramkarz – Ludwik Woś, środkowy napastnik – Jerzy Wójtowicz, prawoskrzydłowy – Robek Rola, lewoskrzydłowy – Wiesio Kapica. W pomocy grali: Józek Kapica, Robek Siekaczyński i Henio Łukasik. Linie obrony tworzyli: Józek Mazur, Henio Pająk, Witek Sabeł, Kazio Mazurkiewicz.

Piłkarze „Orła” często dostarczali swoim kibicom wiele radości, wygrywając w swojej grupie. W urzędowskim „Orle” była również sekcja zapaśnicza, skupiająca młodych chłopaków, bardzo sprawnych fizycznie, którzy solidnie trenowali i walczyli w stylu wolnym. Chłopcy z sekcji zapaśniczej walczyli na zajęciach wyjazdowych w ośrodku sportu w Krasnymstawie. Filarem zespołu „wolniaków” był Zdzisław Gajewski z Bęczyna. Sekcję prowadził i trenował instruktor zapasów stylu wolnego Jerzy Kowalewski – chłopak z Bęczyna. Zapaśnicy trenowali na dużej sali w Domu Ludowym.

W opisie Urzędowa nie można pominąć „Barda” Urzędowa – Marka Zielińskiego. W tamtych latach grał na gitarze, śpiewał piosenki z repertuaru „Trubadurów”, „Czerwonych Gitar”, miał również własne kompozycje. W wakacyjne wieczory młodzież krąg tworzyła wokół „Barda”, siadając bezpośrednio na bruku urzędowskiego rynku. W środku Marek z gitarą i uśmiechem na twarzy śpiewał modne hity tamtych lat. Tego typu muzykowanie było częstym zjawiskiem w czasie wakacji. Przychodziły pary zakochanych, przychodziła młodzież zaprzyjaźniona ze sobą, przychodzili chłopcy i dziewczęta, lubiący muzykę i śpiew. Były to cudowne spotkania wieczorno-nocne, o bardzo mocnym zabarwieniu romantyczno-sentymentalnym. Marek był radosnym, młodym człowiekiem, uzdolnionym muzycznie i wokalnie. Emanował wielką dozą życzliwości dla wszystkich, był bardzo stabilny w koleżeństwie i przyjaźni. Nie uznawał przemocy, gniewu i nietolerancji. W czasie wakacyjnych wypraw „autostopem” po Polsce brał swoją gitarę i bez względu na pogodę, śpiewał i grał z uśmiechem na twarzy. Razem z nim, w latach sześćdziesiątych Polskę przemierzali w wędrownie „autostopem” Jerzy Kuś i Jerzy Kowalewski. Tego typu wędrownie zawsze obfitowała w ogromną ilość przygód.

Opuszczając urzędowski rynek i kierując się w stronę Chodla, po lewej stronie, nad rzeką Urzędówką, widziało się tętniący życiem i pracą młyn pana Pomykalskiego. Młynarczyk – pan Jan Siekierka, czuwał nad właściwą pracą młyna. Odznaczał się wielką fachowością w branży młynarskiej. Doskonale znał się na sztuce przemiału zboża na piękną, białą mąkę. Właściciel młyna, pan Pomykalski, miał pełne i całkowite zaufanie do swego pracownika i jego fachowości.

Za młynem, przy grobli, pan Wiktorek Gozdalski prowadził swoją kuźnię. Właściciel z wielką dokładnością i precyzją realizował zamówienia klientów.

Kilkadziesiąt metrów dalej stała kapliczka św. Jana. Mówiono, że w nocy tam straszy. Oczywiście były to opowiadania na zasadzie „sąsiad sąsiadowi powiedział”. W miarę, jak coraz więcej ludzi słuchało tych opowieści, duchy zwiększały swoją wielkość i straszność w oczach przechodzących obok kapliczki.

Na początku przedmieścia Mikuszewskie funkcjonował zakład bednarski pana Zielińskiego. Produkował on bardzo dobre beczki dębowe. Wyrób pana Zielińskiego skutecznie pomagał w kiszeniu kapusty i ogórków na okres zimowy.

Na początku Bęczyna stała kuźnia pana Stefana Łakomego, człowieka o radosnym usposobieniu i wielkim szacunku dla ludzi. Pan Stefan codziennie, od wczesnych godzin rannych do wieczora, świadczył usługi w branży kowalskiej, które zawsze odznaczały się wielką dokładnością i precyzją.

Idąc w kierunku końca Bęczyna, po prawej stronie mieszkał pan Stanisław Witek, który zajmował się produkcją wyrobów z gliny na użytek mieszkańców Bęczyna i okolic. Swoje gliniane rękodzieło wypalał w piecu, który sam zbudował.

Kilka domów dalej mieszkał wielki miłośnik koni, pan Piotr Surdacki. Zawsze miał na podorędziu piękną parę koni oraz elegancki zaprzęg. Nowożeńcy często angażowali pana Piotra, aby w pierwszym zaprzęgu wiózł ich do ślubu. Zimą pan Piotr zamieniał wóz na piękne sanie, a koniom zakładał na szyje zestawy wielodzwońkowe, które nazywał „janczarami”. Koncert owych dzwońków słychać było już z daleka. Mieszkańcy Bęczyna wiedzieli, że to „duet” czworonogów pana Piotra ciągnie sanie.

Kilkadziesiąt metrów za domem pana Piotra stał drewniany budynek szkoły podstawowej w Bęczynie. Edukacją młodzieży zajmowała się niezapomniana nauczycielka, pani Helena Bogusławska. Ta cudowna postać tamtych lat swoją wiedzę i serce całkowicie oddawała młodzieży, którą uczyła. Była to osoba o wielkiej kulturze osobistej oraz wielkiej dobroci i tolerancji dla swoich uczniów. Religii uczył ksiądz Kieszek z parafii urzędowskiej.

W latach sześćdziesiątych XX wieku w budynku szkoły często odbywały się zabawy taneczne. Do tańca przygrywała orkiestra „doborowa”, w składzie: pan Florek Oblewski – akordeon, pan Walęcik – skrzypce, pan Jędruska – bęben. Trzej panowie, wszyscy z końca Bęczyna, skutecznie rozbawiali uczestników zabaw tanecznych. Najczęściej grali oberka i polkę, a ciąg trzech tańców kończyli tangiem lub walcem. Tango pozwalało odpocząć po przetańczonym oberku czy polce, których tempo i wykonanie zawsze były na najwyższych obrotach. Tańczący prześcigali się w eksponowaniu swoich tanecznych umiejętności. W tamtych latach, bardzo dobrze poczynały sobie w tej sferze Zosia Wyrostek z podlesia oraz mieszkające przy „uliczce” Madzia Wójtowicz i Otylka Rola. Świetnie tańczyła również, mieszkająca przed szkołą Lucia Gajewska, córka Apoloniusza Gajewskiego. Generalnie rzecz ujmując – częste treningi zabawowo-taneczne sprawiały, że wszystkie dziewczęta z Bęczyna

brylowały w tym aspekcie. Jeśli chodzi o mężczyzn, w tańcach brylowali: Darek Wójtowicz, Kazio Gramek, Edek i Stasio Mazurkowie, Marian Wójtowicz i jego brat Zdzisio.

W tamtych czasach zabawy były jedną z nielicznych form rozrywki. W ich trakcie starsi mieszkańcy Bęczyna siedzieli na ławach, ustawionych pod oknami w sali tańczej i bacznie obserwowali tańczące pary, oceniając między sobą ich umiejętności taneczne oraz sposób zachowania podczas płaśu po drewnianej podłodze, w takt muzyki. Oceny były zawsze bardzo zróżnicowane. Takie były czasy, taka była tradycja środowiskowego folkloru.

Drugą formą rozrywki w tamtych latach było kino objazdowe, które raz w miesiącu odwiedzało Bęczyn. W szkole odbywały się projekcje filmowe. Sala była



Jerzy Kowalewski na Alasce

zawsze wypełniona po brzegi. Miejsca siedzące i stojące zajęte. Ci, którzy nie mieścili się w środku, starali się oglądać film, wisząc na zewnątrz przy oknach. Ta pozycja wymagała znacznej sprawności fizycznej. Finalnie, każdy był zadowolony, że obejrzał film, bez względu na pozycję, jaką musiał przyjąć podczas projekcji.

Za szkołą, pod lipami, stała drewniana kapliczka. Miejsce to, szczególnie w maju, było odwiedzane przez mieszkańców Bęczyna. Codziennie, przy palących się świecach i śpiewie pieśni religijnych, odbywały się majówki.

Prowadzącą śpiew była pani Kamykowa – matka Stasia i Marka. Miała ona bardzo wyrazisty i dynamiczny głos. Świetnie interpretowała melodię i słowa pieśni religijnych. Wszyscy uczestnicy majówki przyłączali się do śpiewu prowadzącej i w ten sposób tworzył się wspólny, wielogłosowy chór amatorskich śpiewaków.

Przy „uliczce” była stolarnia pana Tadeusza Gawdzika. Produkowała meble kuchenne i pokojowe. Pan Tadeusz był wielce uzdolnionym stolarzem, a przy tym bardzo miłym, serdecznym i przyjacielskim człowiekiem.

Za stolarnią, w sąsiedztwie pana Niewczasa, mieszkał pan Paweł Wójtowicz z żoną i dwoma synami. Pan Paweł zajmował się układaniem poszycia ze słomy na dachach domów. Tego typu „dachówka” nazywała się strzechą. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych

wiele domostw i budynków było nią krytych. Pan Paweł był znakomitym fachowcem w swojej branży, a przy tym człowiekiem niezwykle spokojnym i zrównoważonym, o dobrym sercu dla bliskich i znajomych.

Za „uliczką”, po lewej stronie, znajdował się sklep spożywczy, w którym obsługę klientów czynił pan Walczyk, człowiek spokojny i całkowicie oddany funkcji sprzedawcy, którą bezbłędnie wykonywał.

Na końcu Bęczyna, przy lesie, był drugi sklep, mieszczący się w domu pana Mazika. Właściciel najczęściej obsługiwał klientów ze swoją córką Marysią, z którą tworzyli wspaniały duet za ladą.

Również na końcu Bęczyna, przy lesie, mieszkał pan Teofil Gajewski – znakomity garncarz i człowiek. Swoją produkcję wyrobów z gliny lokował w piecu nieopodal stojącym, ostrożnie wypalając jego drogocenną zawartość. W ten sposób finalizował swoje gliniane dzieło.

Bęczyn w latach sześćdziesiątych XX wieku był kolebką sztuki garncarskiej. Garncarze z Bęczyna dbali, aby ich wyroby, w jak największym asortymencie, służyły miejscowej ludności.

Na końcu Bęczyna, nad rzeką, stał młyn pana Chęcińskiego. Była to bardzo dobrze prowadzona i zarządzana jednostka gospodarcza, świadcząca usługi w przemiale zboża na mąkę i inne produkty wynikające z tego przemiału. Z usług młyna korzystali mieszkańcy Bęczyna i okolicznych wiosek. Jednocześnie młyn był miejscem spotkań, gorących dyskusji, nie zawsze zgadzających się ze sobą rozmówców. Był też miejscem wielkiego politykowania i omawiania bieżących wydarzeń z kraju i ze świata. Dyskutujący bywali bardzo kontrowersyjni w swoich poglądach i przekonaniach. Na zewnątrz młyna, poniżej śluzy, rzeka gwałtownie rozszerzała się i zwiększała swoją głębokość. Woda była czysta i dobrze natleniona. Ten fakt sprzyjał rozwojowi wielu gatunków ryb. Karpie, płocie, kiełbie i bardzo dorodne szczupaki, zamieszkiwały przymylnne wody. Z umiejętnością wędkowania w tym czasie najlepiej radzili sobie bracia Edward i Stanisław Skowronowie. To oni najczęściej wylawiali dorodne okazy.

Kochałem mój cudowny Bęczyn, wraz z jego swoistym klimatem obyczajowym i lokalną kulturą.

Kochałem mieszkańców mojego cudownego Bęczyna.

Kochałem Urzędów, wraz ze wszystkimi przedmieściami, kochałem ludzi tam żyjących.

I tak mi już pozostało.

Urzędów lat sześćdziesiątych XX wieku pod każdym względem był miastem samowystarczalnym i bardzo dobrze zarządzanym administracyjnie. Samodzielność Urzędowa w znacznym stopniu zwiększało rolnictwo, skupione głównie na przedmieściach. Ówczesni rolnicy przywiązywali wielką wagę do swych upraw.

Ciężko, bardzo ciężko pracowali od świtu do nocy. Żniwa były przeprowadzane przy pomocy kosy, sianokosy również. Przy wykopkach ziemniaków podstawowym narzędziem była motyka, najczęściej trójzębna. Takie były czasy, taka była technika pozyskiwania ziemskich płodów.